Rok 4. Kraków, dnia 20 Czerwca i 5 Lipca 1885 r. Nr. 12. i 13.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— tož samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25
Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—
Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80
Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 zlr. 40 ct. zniż. na—·50
Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zl. 20 ct. zniżona na—·60
Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 zlr. zniż. na 2.50
Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25
Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50
Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 zlr. zniżona na—·50
Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— tož samo w oprawie 1·20
Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75
Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— tož samo w eleganckiej oprawie 1·—
Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60
Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882 —·60
— tož samo w oprawie —.60
Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)
Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75
Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rynami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 zlr. 20 ct. zniż. na—·50
Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—
Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882 —·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające tož samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— tož samo oprawne w płótno angielskie 6·—
Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20
Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30
Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 zlr. zniżona na 1·50
Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 zlr. zniżona na 1·50
Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniów i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 zlr. 50 ct. dwie części 3·—
Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 zlr. 40 ct. zniżona na—·80
Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15
Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—
Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20
Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— tož samo w oprawie 1·20

PERŁY HUMORU POLSKIEGO

wychodzą zeszytami i obejmują to wszystko, co literatura nasza wydała wybitnego na polu humorystyki. Zacząwszy od Reja a skończywszy na ostatnich humorystach naszych — każdy znajdzie miejsce w **Perłach humoru**. Procz tego uzupełniamy ten zbiór anegdotami, wierszami i innemi humorystycznemi drobiazgami, jakie niedrukowane dotąd znajdują się po rękopismach. Podajemy tylko sam wybór, tylko prawdziwe **perły humoru**, aby treść odpowiadała w zupełności tytułowi. Wchodzą do zbioru i przysłowia i dowcipne aforyzmy, wejdą i utwory ludowe, których świeży, naturalny dowcip niejednokrotnie wiele ma wartości i głębokiej myśli. Słowem **Perły humoru** będą rzeczywistą skarbnicą narodowego dowcipu.

Perły humoru wychodzą nakładem K. Bartoszewicza w 4ch wielkich tomach. Dla ułatwienia w nabywaniu każdy tom podzielony został na 6 zeszytów. Cena każdego zeszytu w wielkiej 8ce obejmującego 3—4 arkuszy druku wynosi **30** ct., z przesyłką pocztową **35** ct. **Składający z góry prenumeratę za całość 24 zeszytów płacą tylko 6 złr.** z przesyłką pocztową zaś **6** złr. **80** ct.

Jedenaście zeszytów **Pereł humoru** już się ukazało. Dalsze zeszyty wychodzić będą w odstępach dwu-tygodniowych.

Prenumeratę na **Perły humoru** przyjmuje się tylko do 20 Lipca 1885.

KATALOG

WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH

na które prenumeratę przyjmuje księgarnia

K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						z przesyłką w całem państwie austryackiem					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.
Ateneum	—	-	10		20	—	—	—	10	60	21	20
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		—	7	50	15	—	—	—	8	10	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	—	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5		10	—	2	80	5	60	11	20
Kłosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ z Bibl. najc. utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
Kolce	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Kronika rodzinna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
Medycyna		—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
Mucha	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Niwa	3	—	6		12	—	3	30	6	60	13	20
Ogrodnik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
Przegląd katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	-	—
„ polski	4	—	8	-	16	—	—	—	—	—	—	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	-	7	—	14	—
Przewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	94	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	—	—	—	—	—
Przyjaciel dzieci	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	-	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	--	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	60	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczory rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne czasopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA

wyszło **pierwsze tanie wydanie**

DZIEŁ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

w pięciu tomach z portretem.

Wydanie to zawiera toż samo co wydania lipskie i lwowskie, oraz odnaleziony urywek poematu Juljusza: Pan Tadeusz.

Pod względem poprawności korekty wydanie to przewyższa wszystkie dawniejsze. Papier biały, druk czysty i wyraźny.

Cena 5ciu tomów 4 złr.

W ozdobnej oprawie w płótno angielskie z wyciskami cena 6 złr.

Od d. 1 Lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcya Dra Władysława Wisłockiego, kustosza biblioteki Jagielońskiej

„PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY“

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Numer w objętości $^1/_2$—$1^1/_2$ arkusza druku w zwykłej 8ce, 49 wierszy (61 petytowych) wysokiej, zawiera trzy działy: 1. Bibliografię właściwą bieżącą; 2. Kronikę; 3. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

całorocznie	1 złr.,	z przesyłką	1 złr.	24 ct.
$^1/_2$ „	50 cnt.,	„	—	62 „
$^1/_4$ „	28 „	„	—	34 „
$^1/_{12}$ „	10 „	„	—	12 „

Opłata od ogłoszeń za każdą $^1/_{10}$ część strony 50 cent., za całą stronnicę czyli 61 wierszy petytowych 5 złr.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarń krajowych i zagranicznych najdalej do 20 każdego miesiąca, albo do księgarni **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego“.

Księgarnia K. Bartoszewicza nabywa I-szy i 3-ci Nr. „Przeglądu“ z r. 1882 po 30 ct. za egzemplarz.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Jan Blaschke.
W drukarni A. Koziańskiego.

Rok IV. Kraków, dnia 20 Czerwca i 5 Lipca 1885 r. Nr. 12. 13.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr.. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs.. półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

OD WYDAWNICTWA.

Z rozpoczętym nowym kwartałem, przypominamy Szan. Abonentom czas odnowienia prenumeraty, dodając, że najdogodniejsza jej przesyłka jest pod adresem:

Administracya „Przeglądu lit.-art.“
w Krakowie,
Hotel Saski, księgarnia K. Bartoszewicza.

O NIEJ.

KARTA Z ALBUMU NIEDOSZŁEGO PORTRECISTY

przez

Maryana Gawalewicza.

Ciąg dalszy.

Przeszliśmy do innego tematu; jak wiewiórka przeskakiwała w rozmowie z przedmiotu na przedmiot. Oczy się jej zapalały, to gasły, twarzyczka uśmiechała i chmurzyła na przemian. Poznałem, że ma bystrości dużo, sprytu i dowcipu.

Za drzwiami dał się słyszeć szelest jakiś i skrobanie; wstałem dyskretnie, gotując się do odejścia.

— Zostań pan, to Cezar, mój najwierniejszy—rzekła z uśmiechem, odbierając mi kapelusz — sa tu Cezar, wysadź drzwi! chodź do pani, pani płacze... biedna pani.

Drzwi odskoczyły nagle i do saloniku wbiegło psisko, jak młody tygrys duże, ślicznej rasy, łyszczącej sierci; dwoma susami stanął przy szeslongu, skowycząc, mrucząc, przebierając nogami, bijąc ogonem i starając się ślicznym swym łbem odsunąć ręce, któremi pani jego twarz sobie zakryła.

Ten «najwierniejszy», jak go zwała, mógł być groźnym rywalem w danej chwili; a było w jego psiej duszy coś ludzkiego, dał się tak samo łudzić płaczem udanym, jak inni uśmiechami jego pani.

Wycałowała go na końcu, wygłaskała i kazała położyć się u nóg swoich.

— Ten mnie kocha prawdziwie — rzekła, stawiając nieobutą nóżkę na pysku Cezara — a ma tę wyższość nad innymi, że mnie nie nudzi swemi andronami miłosnemi; waruje na rozkaz. Z mężczyznami trudniejsza sprawa, natrętni są i mają wieczne pretensye.

No, ładną mieliśmy u niej opinią, uważała nas za gorszych od Cezara swojego: przynajmniej z tem się nie kryła.

— Bardzo panu zależy na pańskim Karolku? — zapytała mię nagle, marszcząc czoło pod gęstą grzywą.

— Bardzo, bo młody, zdolny, jedynak...

— Ma podobno tylko matkę i siostrę?.. — zamyśliła się.

— Przyszlij mi go pan, już ja go wyleczę — dodała po chwili.

— Winszuję, skuteczne będzie lekarstwo; wróci do reszty ogłupiały.

— To ja ogłupiam ludzi?... — zawołała, śmiejąc się, jak szalona. Wzięła to za komplement; ano niech.

— Zgubisz go pani do reszty.

— To i cóż?

Oczy jej jakoś demonicznie zaświeciły, jak węglikowi; chwyciła ze stolika opłatek, pokruszyła w palcach, i rzucając garść okruszyn w akwarium, rzekła:

— Takbym z wami wszystkimi zrobiła, gdybym mogła!

Wierzę; w owej chwili mówiła prawdę, bo aż jej usta zadrgały i nozdrza się rozdęły. Musieliśmy jej kaducznie dokuczyć w życiu; wzięła mnie tą szczerością i furyą, lubię takie impetyczki, mają temperament; bez tego kobieta, a broń Boże artystka — nie wiele warta. Tak mi się zawsze zdało.

Stary urwisz ze mnie, anim się spostrzegł, jakem ją w łapkę cmoknął za ten wylew szczerości; ubawiła mnie. Uśmiałem się, aż mi okulary z nosa się zesunęły.

Śmiech, to rzecz zaraźliwa, jak ziewanie, a całus kobiecie zawsze smakuje i pochlebia, choć od starego i choć tylko w rękę. Zrobił swoje, bo zaczęła się śmiać razem ze mną i wydobrzała nagle z tej pasyi, co się wzięła ni ztąd ni zowąd... Coś ją tam w myślach ugryźć musiało.

— Pana to bawi, a ja mówię prawdę — zaczęła znów — mężczyźni zrobili mi dużo złego w życiu..., zepsuli mnie, zabrali wszystkie ułudy do świata, nauczyli lekceważyć ludzi i siebie. Ja nie byłam na to stworzoną, czem dziś jestem; żebyś pan wszystko wiedział!... — westchnęła, głowę odwróciła odemnie, jakby nie chciała pokazać swego smutku, co jej teraz twarzyczkę pokrył bladą.

Dziwna mieszanina była w tej kobiecie, jak w pokruszonej mozajce... Coś mnie do niej ciągnąć zaczęło: także!.. z pod okularów patrzałem na nią i milczałem. Co tu gadać w takiej chwili?..

Usta zębami przycięła, powiekami zaczęła łypać, bródka się jej zmarszczyła, jak to bywa przed pierwszą łzą, kiedy się jej na rzęsy spuścić nie chce.

Patrzcie, a ja byłbym przysiągł, że ona płakać już zapomniała, tylko że to u tych aktorek, to łzy bywają za paznogciem, na zawołanie; ale cóżby jej z tego przyszło, ażeby przedemną udawać? Ta łza, którą koniecznie połknąć chciała, ujęła mnie dla niej; może ten wartogłów Karolek miał i słuszność. Ano, to się pokaże.

Podniosła się z szezlongu i zaczęła niby psa za uszy kręcić; nieprawda, chciała przedemną wilgotne oczy ukryć. Co to udawać, kiedy nawet pies się poznał, że płakała, bo łeb do niej podniósł i językiem chciał ją polizać, jakby przez współczucie.

Nagle w przedpokoju dały się słyszeć szybkie kroki i drzwi odskoczyły z impetem, a w drzwiach stanął wczorajszy Antinous; we fraku był, w białym krawacie, na głowie cylinder, na ramionach futro tumakowe. Chciał wejść widocznie tak, bez ceremonii; ale kiedy dostrzegł obcego, kapelusz szybko zdjął z grzecznem *pardon*, futro zręcznym ruchem zrzucił służącej, co to *savoir-vivre* zna od kołyski, przed pacierzem jeszcze na pamięć.

Cezar się porwał, jak do dobrego znajomego i zaczął skakać przy nim, szczekając, a ona zapomniała o pantofelku, co jej spadł z nogi i rzuciła się na przywitanie swojego... kat wie, jak go tam nazwać. Oczy jej zaświeciły, jak wilkowi. Co będę kłamał, ciekawy byłem tego panicza, więc niby brałem za kapelusz, niby surdut zapinałem, niby chciałem się wynosić, alem czekał. Przedstawiła mi go, jako młodszego; mógłby być moim synem.

— Pan hrabia Biński.

Kiwnął mi głową zlekka; przysięgnę, że wiedział coś o «okularniku».

— Ja tu do mojej pani na chwileczkę — zaczął, chciałem dowiedzieć się o zdrowiu, czy bardzo zmęczyły obowiązki wczorajszej Fortuny i fiorai?... natychmiast umykam.

Nie podobało się jej to, wierzę; na «chwileczkę» nie przychodzi się do niej. Jakby ją wodą oblał, minkę zrobiła pochmurną, usta wydęła.

— Tak panu spieszno?.. nie śmiem zatrzymywać.

Znaczyło to wyraźnie: «to się wynoś odrazu.» Urażoną była.

— Gdzież taka gala dzisiaj? — spytała.

Zdawało mi się, że go to zapytanie zakłopotało, bo chrząknął, zanim odpowiedział i oczy spuścił.

— U familii...

— Ach ta familia! — żachnęła się, wypadając z roli przymusowej obojętności.

Zaczął sobie poprawiać krawat, który mu się podpinał w górę, z wyrazem jakiegoś niezadowolenia. Taki drobiazg, a psuje humor; znam to.

— Nieznośna rzecz...

— Co takiego? — spytała złośliwie — familia czy krawat.

— Tym razem krawat tylko.

— Poczekaj pan, dam panu szpilkę...

— *Oh, merci*, boję się wykłuć z łaski.

— Naprawdę?.. — spojrzała mu głęboko w oczy, ale je znowu spuścił przypadkiem, czy umyślnie. Wyszła do drugiego pokoju, a po chwili odezwała się ztamtąd.

— Panie Andrzeju, proszę... przypnę panu...

A hm!.. zrozumiałem; ta szpilka w porę się nadarzyła, chciała z nim pogadać na osobności, przeszkadzałem im. Sprytna.

Zacząłem przewracać album na stoliku; były w nim, jak w arce Noego, wszystkie lwy i lwięta modnego świata, aktorki i aktorzy w kostiumach, literaci, kopie Makartowskich obrazów, pan hrabia w kilku pozach; na jednej znać było ślady szpilki, czy pazurków, które w chwili rozdrażnienia podrapały Antinousową facyatę pana hrabiego. Jakaś egzekucya *in effigie*. W ogromnym koszu atłasowym leżała sterta biletów wizytowych z koronami, bez koron, przedartych, zakurzonych, zwiniętych w trąbki, ktoś się widocznie bawił niemi; przerzucałem je, a oni za ścianą... przypinali krawat tymczasem, szeptając. Szept się przerywał, nastawała pauza, usta musiały być czem innem zajęte.

Ho, ho!.. i na tych szeptach znam się.

Choć słów nie dosłyszałem, z głosu można było domyśleć się, o czem mówią. Prosiła go widocznie, żeby nie odchodził, nalegała — odmawiał, tłumaczył jej coś, niecierpliwił się. Stare ucho nasłuchało się w życiu tych szeptów tyle, że zna ich wszystkie odcienia. Czasem ona się zapominała i głośniejsze słowo rzuciła, wtedy on lekkiem «sst» reflektował, głos się znowu przyciszał i urywał.

Niepotrzebniem został.

Domyślny jestem, potwierdziło mi to lustro w jej toalecie; przez niedomknięte drzwi zobaczyłem, jak się tuliła do jego piersi, niby Małgorzata do Fausta.

Nic nie pomogło. Usłyszałem na końcu jej krótkie: «nie?», «nie»... «To idź!..»

W kilka minut poszedł, jakby go coś pędziło; chciała wyjść za nim do przedpokoju, brała już za klamkę, ale cofnęła się. Natomiast pobiegła do okna i nie zważając na mróz, otworzyła kwaterę i wysunęła przez nią główkę. Na dole dał się wreszcie słyszeć turkot odjeżdzającego powozu...

Blada była i zmieniona potem, ręce splotła i zaczęła chodzić po saloniku, jakby zapomniała, żem siedział w fotelu w głupiej pozycyi i nie śmiałem się ruszyć, ani odezwać. Zajętą była swemi myślami i wzburzoną. Cezar chodził za nią, jakby jej chciał wyperswadować, że nie warto się troszczyć o tamtego, skoro on przy niej został.

Poczciwe psisko, kochać ją musiało.

Co mu z tego!.. zaplątał się jej jakoś pod nogi i przestraszył, kopnęła go... Ot, kobiety!

Przypomniała mnie sobie wreszcie.

— Dobrze, żeś pan został — rzekła, rzucając się na kanapkę, niedbale, z nogą pod siebie, — będę miała z kim rozmawiać. Pan się przecież nie spieszysz... do familii?

— Bo jej nie mam — odpowiedziałem.

— Jakto, nikogo?—w głosie coś, jak współczucie zadźwięczało.

— Nikogo.

— Od dawna?

— Ho, ho, od młodości.

— Biedna sierota! — odezwała się na pół z uśmiechem, na pół z pieszczotliwością i wyciągnęła do mnie rękę, — ale żart na bok, lepsze to niż mieć rodzinę, jak ja... Mnie się wyparli...

Zacięła usta, jakby się spostrzegła, że zadużo powiedziała; ale mnie się to zdarza. Ludzie mają do mnie dziwne zaufanie; nie pytani, ni ztąd ni zowąd spowiadają się przedemną, użalają, jak przed księdzem. Mam szczęście; to ta fizyonomja proboszcza wiejskiego tak ich dobrze usposabia. Djabli mnie skusili golić brodę i wąsy na starość!..

— Co pan sobie o mnie pomyślisz!?.. — zaczęła znowu po chwili dobrodusznie — plotę panu bez ceremonii, jakbyśmy się znali kopę lat, a ja nawet nie wiem, jak panu na imię.

— Kajetan, — nieszczególnie.

— Prawda, ale jak na starego kawalera, boś pan kawaler? wiem, — ujdzie. Ja bo znów jestem dziwaczka, do ludzi mam instynkt, ceremonii nie cierpię; ze mną bardzo łatwo zawiązać przyjaźń, gdy do kogo mam przekonanie.

Zaczęła się ożywiać i mówić coraz swobodniej, wszystko się u niej zmieściło na języku, a usposobienie zmieniała co chwila niemal. Opowiadała mi o swojej karyerze artystycznej, o talen-

cie, chciała się uczyć po angielsku i wyjechać do Ameryki, jak Modrzejewska, o stosunkach teatralnych, zakulisowych intrygach, niegodziwości reżyseryi. Zarozumiałą była na punkcie talentu, jak wszystkie; to trudno.

— Cóż taka Staśkiewiczówna! — prawiła z ferworem — ni z pierza to, ni z mięsa, inteligencyi żadnej, nawet się ubrać nie umie a myśli, że co wielkiego. Zobaczysz pan za lat kilka, o niej mówić przestaną, a ja będę świeciła na pierwszorzędnych scenach. Muszę być sławną i zrobić furorę!..

Potem znów przeskakiwała do kwestyj ogólniejszych, do mężczyzn, których «niecierpiała», do niego, który «taki sam, jak wszyscy», do życia, które «ją nudzić zaczynało.» Z optymizmu w pessymizm, z krańca w kraniec szła jednym krokiem; tylko kobiety nerwowe tak skakać umieją.

Zmierzchało się, zmrok zimowy zapadał szybko, a ze zmrokiem przybywało jej ochoty do gawędy; musiały ją bawić moje uwagi i anegdotki, bo wybuchała śmiechem, to wzdychała, zrywała się z siedzenia, klaskała w ręce, w końcu tak się spoufaliła, że chciała na mnie poduszką aksamitną rzucić, gdym powiedział, że Staśkiewiczówna mi się podoba.

— Idź pan sobie do niej! — wołała z dąsem, ale gdym brał za kapelusz, chwytała za rękaw i zatrzymywała: — czekaj pan jeszcze, dobrze mi z panem, jeszcze chwileczkę.

Karolek byłby mi dopiero zazdrościł!

Siadałem po raz dziesiąty i znów dalej szła gawęda.

Przez okna zaczął księżyc zaglądać i srebrne plamy rzucać na meble i posadzkę jej saloniku, wieczór się zrobił, lampy nie kazała wnosić.

— Bardzo lubię tę szarą godzinę — mówiła, — przypomina mi moje pensyonarskie lata; siadywałyśmy tak z siostrą przy oknie i paplały o niebieskich migdałach. Wtedy ani mi się marzyło, że pojdę na scenę.

I zaczęła mi, jakby rozmarzona wspomnieniami opowiadać bez związku przygody swego życia.

Co tam będę powtarzał wszystko; ot, szły na nią pokuszenia jedne po drugich, ładną była, z dobrej rodziny, źle chowaną, psutą przez wszystko, przez instynkta, przez ludzi, przez książki, świat chciał, aby się własną siłą broniła, a tych sił nikt nie dał, ani natura, ani Bóg, ani wychowanie. Złe ją korciło, rozciekawiało, wabiło — aż na końcu zwabiło.

Uciekła z domu, poszła na scenę...

Nie mogłem wszystkiego powiązać, bo choć jak gadatliwe dziecko zwierzała mi się, czasem z naiwnością, a czasem z jakimś cynizmem prawie, rwało się to opowiadanie, jak spowiedź kapryśna.

Bałem się odzywać za często, nalegać pytaniami, aby jej nie zrazić, — i tak za dużo usłyszałem; ale to ten zmrok, ten księżyc, co na nią świecił przez szyby i magnetyzował ją swojem światłem, *on* wreszcie, który ją podrażnił swojem odejściem.

Z jakimś żalem i goryczą szeptała w końcu, jakby znużona.

— Każdy, co się do mnie zbliżył, zawód mi sprawiał; duszę miałam, ale ciało tylko ludzie widzieli... każdy o sercu mówił, a o gorących ustach moich myślał. Egoiści obrzydli!... korzystali z tego zarzewia, co się we mnie tliło i rozdmuchiwali je, nie pytając, czy w końcu sam popiół w kobiecie zostanie. Wielka rzecz dla nich, jedna mniej, jedna więcej!...

— Czyż tylko takich spotykałaś pani w życiu?

— Jako aktorka — tylko takich; alboż inniby się zbliżali? aktorka, mój panie, to ten krzak, z którego każden przechodzeń chciałby urwać kwiatek dla siebie, bo ładnie kwitnie, a na widoku stoi i wszystkich kusi.

Sama napomknęła coś o Bińskim.

— Ten jeden jakiś lepszy od innych, kocha mnie, ale to dziecko, słaby, panicz, fantazye miewa, serce złote; ja jestem pierwszą jego miłością; jak pan widzisz śliczny chłopak, przywiązałam się do niego, bo mi potrzeba jakiegoś serca. Ciągle nie można grać komedyi i balować w życiu, — to się sprzykrzy i zmęczy w końcu...

Wyrwałem się od niej nareszcie; w starym łbie mi szumiało, ta pierwsza wizyta za pięćdziesiąt innych starczyła. Przestałem się dziwić teraz, że za nią szaleli, umiała odurzać sobą.

W domu u siebie zastałem Karolka w obłokach dymu; chodził i wypalał mi tytuń, czekając na mnie. Myślałem, że wypocznę w szlafroku i wytchnę trochę, — gdzie tam, musiałem mu opowiadać o niej do północy. Słuchał, ręce łamał, wypieków dostał, z podełba na mnie patrzał, przewracał mi wszystko na stoliku, a ciągle pytał: «no, a co jeszcze?..»

Powiedziałem mu moje zdanie o niej: wykolejona kobieta, nieszczęśliwa, pożałowania godna, ale unikać jej trzeba, jak topielicę, nie wyratuje jej nikt, a najsilniejszego pociągnąć może za sobą na dno. Takie to się już rodzą na zatracenie.

Coś mu do głowy strzeliło; przystąpił nagle do mnie z rękoma w kieszeniach i zawołał:

— Panie, pan mi coś za gorąco opowiadasz teraz o niej!

Myślałem, że mnie prześwidruje oczyma.

Zwaryował chłopak, jak Boga kocham — jeszcze gotów być o mnie zazdrosnym.

Szalona pałka.

Powiedziałem mu: «smarkacz jesteś», bo mnie tem zirytował i to go udobruchało. Poszedł do kredensu, wyjął butelkę z koniakiem i nalał sobie kieliszek; rządził się już u mnie od pewnego czasu, jak szara gęś, ale to nic, pozwoliłem mu, byle tylko głupstw nie gadał.

A jednak... on się przewracał na sofie, jak lin pokrajany, a ja ani rusz rozchrapać się nie mogłem; po głowie mi chodziły myśli i przepowiadałem sobie wszystko, com od niej słyszał, żal mi było kobiety zmarnowanej, i stary niedowiarek pytałem się: a nuż to komedya?

Nad ranem usnąłem jakoś, ale z postanowieniem, że nie rychło pójdę drugi raz, choć zapraszała, aby bywać często. Co mi potem!

Kiedym się zbudził, dzień już był; Karolek w moim szlafroku i pantoflach siedział przy biurku i pisał.

— Co ty robisz? — spytałem — czegoś się tak wcześnie zerwał?

— Muszę skończyć artykuł, bom wziął zaliczkę, a od tygodnia nie byłem już w redakcyi — odrzekł.

Zapomniałem powiedzieć, że pisywał do dziennika; było o czem pamiętać!.. także ważne zajęcie, kto dzisiaj nie jest gazeciarzem! Coś on tam skrobał zawsze, ale mi tego nie czytał, może się wstydził. Pióro zresztą dzisiaj jak szydło, zarabia się niem na chleb, a Karolek potrzebował go dużo dla siebie i dla swoich.

Ogromnie mi jakoś spoważniał od wczoraj. Czart wie, możem go mojem opowiadaniem wyleczył, do pracy się brał, no proszę?.. Miałem ochotę ofiarować mu a conto jego artykułów kilka papierków, bom zwąchał, że goły musi być jak święty turecki.

Około południa poszedł, aleśmy już o niej ani słowa nie zamienili.

Nosa z domu nie wyściubiłem dzień cały, nawet kawkę zwyczajną opuściłem, na dworze śnieżyca hulała, aż hej! Co tam się będę włóczył po świecie, kiedy mi ciepło i dobrze u siebie.

Karolek bestya ani się pokazał: czekałem na niego z herbatą, kazałem umyślnie szynki przynieść, którą lubił i masła. Nie miał widać przeczucia ten chłopak. Wtem około dziesiątej ktoś

zapukał do drzwi; zdziwiłem się, o tak późnej porze?... Ktożby taki? myślałem, że on, a to posłaniec obsypany śniegiem, obmarznięty, pomstujący, że mnie od dwóch godzin szukał z listem, bardzo pilnym.

List pachniał paczulą, czy jakiemś innem zielem, adresowany był do mnie, kobiecą ręką. Odrazu odgadłem, że od niej. Inne kobiety nie pisywały do mnie już oddawna, po co?..

W liście wyczytałem tych słów kilka pospiesznie widać skreślonych, pismo było rozbite, joty bez kropek, żadnych znaczków: «Zdarzyło mi się wielkie nieszczęście — wiję się z płaczu, nie mam ani jednej poczciwej duszy, zrób pan mi wielką łaskę i przyjdź natychmiast po odebraniu tego listu, choćby najpóźniej. Bardzo biedną jestem i pożałowania godną. Jutro może żywej nie zastaniesz.»

Cóż było robić?.. poszedłem; ja się jeszcze daję brać na takie listy, choć stary jestem i przestałem wierzyć kobietom.

Co się tam stało? — myślałem — wczoraj jeszcze śmiała się, jak ulicznik, a dzisiaj do jutra nie wie, czy wyżyje, wije się w płaczu, nieszczęśliwa jest.

Zasapałem się, jak słoń w tańcu, aż mi dech zaparło, kiedym się nareszcie do jej drzwi dostał. Służąca bardzo ostrożnie otworzyła, puścić mnie najprzód nie chciała, ale jakoś dała się przekonać.

— Pani nie kazała nikogo przyjmować, — rzekła, z niedowierzaniem patrząc na moje szopy ośnieżone — pani nie chce widzieć nikogo, pani jest słaba... niema pani.

— A pocóż pisała do mnie?

— A to pan, ten pan?

Gadaj tu z głupiemi! przecież u aktorki służy i to u takiej, mogłaby być sprytniejszą. Za moich czasów to bywały takie Doryny, jak np. ta Władka u jednej... ale, to do rzeczy nie należy.

Poszła się spytać i wróciła, że pani bardzo prosi; nosem pociągała, małe oczki wycierała fartuszkiem; tej także się nieszczęście przydarzyło, a może tak tylko przez współczucie dla pani.

Wszedłem; w saloniku było ciemno, w sypialni niebieska lampa u sufitu się paliła, a przy takiem świetle to niby wszystko widać, a niby nic wyraźnie, jeszcze przez moje okulary. Byłbym też jej nie dostrzegł tak prędko, gdyby nie szlochy i łkania; na łóżku leżała w białem jakiemś okryciu, twarzą w poduszkach, i zanosiła się od płaczu. W pokoju eter czuć było, musieli ją cucić z omdlenia.

Stanąłem nad nią i czekam; niech tam mówią, co chcą, kiedy kobieta płacze, to się człowiekowi głupio robi na sercu.

Te łzy, to także wynalazek!

Uspokoiła się, ale głowy nie odwracała.

— Siadaj pan — rzekła do mnie; to było grzecznie z jej strony, że wpierw pomyślała o moich nogach, niż o swojem nieszczęściu.

— Nie spodziewałeś się pan zobaczyć mnie dziś taką?... o i ja prędzej śmierci się spodziewałam!..

— Cóż takiego? coś ważnego, coś...

— Ja to panu wszystko opowiem, wszystko — mówiła, łkając — tylko się trochę uspokoję... Mój drogi panie, tam w szafie za panem, na pierwszej półce leżą chusteczki...

Domyśliłem się reszty, podałem.

— Dziękuję, jeszcze jedną.

Dałem jej drugą.

— Tak, teraz zwiąż mi pan głowę; — związałem. Głowę miała rozpaloną, policzki obrzmiałe od płaczu, oczy pełne łez i opuchłe; poznać ją było trudno.

— Jaki pan dobry!.. zimno mi znowu, przykryj mnie pan teraz, tam futro gdzieś leży.

Jakoś znalazłem, przykryłem, otuliłem, jak chore dziecko. Sam nie wiem, zkąd mi się wzięło na tyle zręczności i czułości...

Siadłem przy niej, pić jej się zachciało; wypiła resztkę lemoniady ze szklanki i uściskała mi rękę gorąco z niemą podzięką.

— Jaki pan dobry!...

Dłonie miała, jak ogień, trochę wilgotne, rozgorączkowane.

— Wie pan... on się wczoraj zaręczył!..

— Kto?

— Bi... Biński.

I nowy atak płaczu ją napadł.

Ba, — zrozumiałem teraz; było czego szlochać. Patrzcie państwo, zaręczył się.

— Niegodziwiec, podlec! mówiła — porzuca mnie i dla kogo? dla takiej zmokłej kury, jak ta Wereszczańska... śliczną będzie miał żonę z łysą głową, bo ona łysa. On ją na drugi dzień po ślubie porzuci, zobaczycie. Niech się żeni, ale ja mu pokażę!.. Poco mnie oszukiwał, tego mu nigdy nie daruję. Wczoraj tu jeszcze był, przy panu krawat mu sama przyszpilałam a ztąd poszedł prosto do nich. I to mężczyzna! psy są wierniejsze, mój Cezar tegoby nie zrobił.

Jakoś mi się lżej zrobiło; wyobrażałem sobie to nieszczęście inaczej; przyszedł mi na myśl Karolek, on byłby pana hrabiego wycałował za te zaręczyny.

— Toś pani nic nie wiedziała o tem? — spytałem, aby coś powiedzieć.

— A zkąd miałam wiedzieć?.. do ostatniej chwili się ukrywał. Kiedyś tam w lecie wspominał, że go chcą ożenić, że go ciągną. Przecież wiedziałam, że się nie pobierzemy — chociaż cóżby to było dziwnego? Alboż to jedna aktorka została hrabiną. Mój herb nie gorszy od jego dziewięciu pałek w koronie, ale ja tego nie żądałam, zresztą to nigdy być nie mogło...

Zacięła się, jakby jej gardło ścisnął, potem z ciężkiem westchnieniem znowu twarz w poduszkach ukryła i zaczęła cichym głosem zawodzić: «oj, Boże, Boże!»

Co ją właściwie tak bolało?.. czy zawód z jego strony, czy to, że go utraci, czy że go inna teraz posiędzie? alboż go na prawdę kochała?.. Kto tam dojdzie do ładu z temi waryatkami!

Wczoraj był jeszcze dla niej tylko dzieckiem, do którego się przywiązała, a dziś — takie awantury, i to na prawdę, bez udawania i komedyi. Dopóki był jej wyłącznie, jedynym, to go sobie nie ceniła tak wysoko, teraz gdy go jej zabierali — czy też, gdy się odczepiał, rajwach, krzyk, rozpacz... A przecież to było do przewidzenia; każdy romansik musi się skończyć kiedyś, zwłaszcza taki, zwłaszcza z kawalerem. Prędzej czy później nie ożeni się sam, to go ożenią inni, chyba zostanie w celibacie, jak ja, dla jakiejś tam mrzonki, ale wtedy musi kochać, o i jak!.. Tych paniczów dzisiejszych niema co traktować na seryo.

Chciałem jej to wszystko powiedzieć bez ogródki, prosto z mostu, ale żal mi było rozdrażniać ją jeszcze bardziej; coby to zresztą pomogło? w życiu bez konsekwencyi rozumowanie nie na wiele się przyda.

Jednak ta jej rozpacz i boleść wzruszała mnie; nieszczęśliwa natura.

Ani jej przez głowę nie przeszło, że tak, jak ona dziś, podobne męki przechodzili przez nią inni i że to tylko rodzaj odwetu ze strony losu... Dobry ze mnie przyjaciel, niema co mówić; na szczęście gębę trzymałem zamkniętą i anim się odezwał. Wzięła to milczenie za dowód zupełnego współczucia, znów mi podała rękę i znowu powtórzyła: «jakiś pan dobry!» Co mi z tego? wszyscy mi to w życiu mówili, a jednak...

Siadła na łóżku, futro zrzuciła, gorąco się jej zrobiło i rękoma objąwszy kolana, zaczęła teraz mówić szybko, długo, z we-

wnętrznem wzburzeniem; kołysała się przy tem zlekka całem ciałem, w półcieniu za firankami wyglądała jak odaliska, która czeka spełnienia wyroku sułtańskiego, albo Desdemona zbudzona przez Otella.

Szkoda żem zarzucił malowanie... świetny model miałbym przed sobą.

Napisała do niego trzy listy w ciągu dnia, skoro jej tylko wiadomość o zaręczynach przynieśli, nie odpowiedział na żaden, wstydził się pewnie, ale przysięgła sobie, że go sprowadzi, że go musi mieć u swoich nóg, choćby na jednę chwilę. Ho, ho! kiedy tak, to tak... Bez walki nie odstąpi; on ją kocha mimo to, że się z inną żeni, ulega tylko matce, rodzinie, konwenansom, ale ona go wydrze, małżeństwo to rozbije. Dlaczego miałaby się poświęcać, kiedy ma do niego także prawa? i ona chce być szczęśliwą, mniejsza za jaką cenę. Co ją obchodzi świat, opinja ludzka, honor!.. zerwie z tem wszystkiem zupełnie, a jego musi mieć... Tak im dobrze było obojgu razem w tym stosunku, — a teraz ich rozrywają, no itd.

Wygadała się, wypłakała, wyżaliła, ułożyła na poduszkach i umilkła wyczerpana.

Biedna, rozbita dusza!

Na palcach, po cichu wysunąłem się od niej, bo usnęła w końcu; w przedpokoju drzemała Antośka na kufrze z głową o ścianę opartą. Rozespana wzięła mnie za kogo innego; — «zaraz panie hrabio,»—powtarzała, widać z przyzwyczajenia, z zamkniętemi oczyma, zataczając się na nogach. Musiałem sam futro wciągnąć na rękawy i po ciemnych schodach złazić z trzeciego piętra po omacku.

Potrzeba mi było tego!..

Karolek zbudził mnie raniutko już, prawie o świcie; wiedział o zaręczynach Bińskiego, w teatrze mu powiedzieli o jej chorobie, o zerwaniu spektaklu z tej przyczyny. Zaniepokojony był, głupszy mi się jeszcze wydał w swoim obłędzie, bo i jakże? oburzał się na tamtego, że się żenił z inną.

— To nieuczciwie ze strony pana hrabiego — wołał mi nad uchem i ręką machał, jak pajac na sznurku — kompromitował ją tak długo, a teraz porzuca. To się tak robi?

— A cóż miał zrobić?

— Co? wszystko, tylko nie to; ale ja mu pokażę.

— Bój się Boga, chłopcze, nie warjuj; po co ci się mieszać w nie swoje sprawy — perswadowałem — przecież to lepiej, że się jej odczepi. Nie będziesz miał powodu do zazdrości.

— Et, co tam ja!.. o nią mi chodzi.

No, czy nie zgłupiał?... pasya mnie porwała, doprawdy. Byłbym go za ucho wziął, ale mi się nie chciało wyłazić z pod ciepłej kołdry.

Wyleciał, jak bomba, tak się rozpalił własnym językiem. Gotów jeszcze Bińskiego wyzwać na pojedynek, a tamten go każe przez lokaja za drzwi wyrzucić.

Po południu wybrałem się za tym sowizdrzałem; chciałem mu palnąć *verba veritatis* i wziąć od niego słowo, że się w tę sprawę nie wmiesza. Nigdzie go nie było, ani w redakcyi, ani w kawiarni, ani pod jej oknami; musiałem wziąć sanki i pojechać do niego do domu. Dziwnie miłego doznałem wrażenia; poznałem matkę i siostrę Karolka.

Mieszkanko miały schludne, czyściutkie, skromne, w starych meblach znać resztki dawnej zamożności, na ścianach portrety w ramach kiedyś złoconych, a w oknach klatki pełne kanarków i czyżyków, w saloniku fortepian, a w powietrzu coś, co ci mówi: tu oddychają tylko uczciwi.

Przyjęły mnie jak znajomego, kiedym nazwisko wymienił.

— O, Karolek często pana wspomina, prosimy, prosimy... — zawołała matka; starszą mi się wydała, niż przypuszczałem, chociaż siwizna zaledwie przeglądała wśród ciemnych włosów. Musiała kiedyś być piękną; smutną jakąś pogodę miała w twarzy.

Siostra robiła kwiaty przy stoliku, zarzuconym kupą liści, drutów i bibułki, a matka jej pomagała. Panna była nie pierwszej młodości, ubrana skromniutko, szaro, wydała mi się wątłą, przysiągłbym, że pokaszluje ukradkiem, aby matki nie martwić.

Dziwnie mi się wydała w okularach w grubej oprawie, które zdjęła po chwili, odkładając robotę; jakoś odmłodniała bez nich.

— O, Karolka nigdy niema o tej porze — mówiła głosem trochę zmatowanym, — biedaczysko tyle ma cały dzień zajęcia, do późnej nocy; zapracowuje się chłopak. Często z obiadem nie możemy się go doczekać.

— A gdzieżbym go mógł teraz zastać.

— Najpewniej w redakcyi — odpowiedziały obie z takiem głębokiem przekonaniem, żem nawet nie śmiał się przyznać, iż go tam od trzech dni nie widziano.

W dalszej rozmowie ożywiły się, matka ze łzami w oczach mówiła o swoim jedynaku; trzech synów przed nim straciła, bała się o niego, tyle musiał pracować na ten kawałek chleba!

Siostra milczała, tylko głową potakiwała. Kochały go, jak dwa anioły opiekuńcze.

— Żeby tylko więcej się szanował; pan ma wpływ na niego — mówiła matka, wpatrując mi się w oczy poczciwie — niech mu pan nie pozwala siadywać w nocy tak długo. Zdrowie marnuje, nie doje, nie dospi, lata po takim mrozie w paltociku; my tam z Lińcią damy sobie rady. Bogu dzięki roboty nie brak, a jego mamy jednego.

— A mizernieje tak — wtrąciła siostra smutnym głosem.

Hultaj, mizerniał, ale nie z pracy, gryzł się, szarpał wewnątrz; a takby mu dobrze, cicho, spokojnie być mogło w tych pokoikach, pośród takich dwóch serc anielskich. Nie; jemu się zachciewało czegoś niezwykłego.

A one mu tak obie wierzyły; ale to zwykła rzecz, po to nam wierzą, abyśmy nadużywali dobrej wiery.

Wyszedłem z domu Karolka smutny jakiś, żal mi było matki jego, wstyd mi czegoś było patrzeć im w oczy.

O zaręczynach Bińskiego gruchnęło w całem mieście, jakżeż nie mieli ludzie mówić o tem? żenił się młody lewek arystokracyi z owieczką o złotem runie, a zresztą hrabiątko przez swój romans z aktorką, chociaż pokrywany pozorami, było już głośne.

Aktorka, baletnica, śpiewaczka trochę głośniejsza, robi reklamę, jeszcze jaką!.. czemże by bez nich była ta złota młodzież, której się zdaje, że błyszczy sama sobą. W lożach przy scenie i w pierwszym rzędzie krzeseł każdego teatru tych typów co niemiara, począwszy od nowicyuszów, co we fraku i białym krawacie stają, jakby na pokaz w antraktach i omal sami nie kłaniają się publiczności, gdy ich «protegowana» zbiera oklaski a skończywszy na starych niedołęgach, którzy poprzestają na uśmieszku ze sceny, wystawionym palcu przez dziurkę w kurtynie i tytule «wujaszka», głaskanego pod brodę w chwilach szczególniejszej łaski.

Czasem się im siada na kolana nawet, ale to już bardzo wyjątkowy przywilej.

Dajmy temu pokój.

O małżeństwie Bińskiego mówiono, jak o jakim wypadku politycznym. Boże drogi, jak ci ludzie miłostkami się zajmować lubią! Plotek narobiono mnóstwo: o niej powiadano, że chciała się na niego z nożem rzucić, gdy wychodził z domu narzeczonej, że się otruła zapałkami, że... niestworzone rzeczy, ale od czegóż ludzie mają języki i ślinę na języku... Ślina jak woda, obraca taki młynek w ustach, a co się na nim zmiele przy okazyi ludzkich honorów, uczciwości, spokoju, dobrej sławy!

Z tego wszystkiego było prawdą, że się rozchorowała, „pa-

zmy miała, gorączkę; oprócz teatralnego doktora nikogo do siebie wpuszczać nie kazała.

Biński podobno pod jej dzwiami całą noc jedną przesiedział. Nie chciała go widzieć, ale mi się temu wierzyć nie chciało; a może...

Skandal się zrobił w mieście.

Przez jeden tydzień nasłuchałem się więcej o niej jednej, niż o królowej Wiktoryi przez lat dziesięć. Karolek biegał, jak bez głowy, gorączkę miał także, o wszystkiem wiedział, wszystko mi znosił, do kuchni się do Antośki zakradał i ztamtąd szczegóły miał; nie podobały mi się te konszachty ze służącą, sensu w tem nie było i godności.

Przyznał mi się, że biegał sam do apteki po krople laurowe, wyręczając Antkę, która tymczasem kompresy gorące robiła. Aby prędzej było, aby się czemkolwiek przysłużyć «tej biedaczce» zmaltretowanej tak przez los i przez tego «brutala, łotra, niegodziwca Bińskiego.»

Już to epitetów mu nie żałował.

Nie chciało mi się łazić na trzecie piętro, nie mając pewności, czy będę przyjęty; powiedzieli mi, że się wyprzedaje, że zmienia mieszkanie. Taki to koniec zwykle, z jednej strony karty pałac, z drugiej lepianka w takiem życiu.

Musiała mieć długi; Fischgold, co aktorom pożycza na weksle, mówił mi kiedyś o niej, że u niego ma kredyt nieograniczony. Szachraj żyd, musiał ją skubać porządnie, sto za sto; znamy się na tem, a teraz będzie egzekwował kiedy zabrało hypoteki.

Oto los, niech go pioruny spalą!...

Jakoś, skorom zaczął tak nad tem rozmyślać, tak nawet nie wiem, kiedy i którędy znalazłem się przed jej domem. Mogła potrzebować dobrej rady, kogoś, coby jej wygodził; ja lubię być ludziom użyteczny, trochę tam grosiwa mam, do grobu tego nie zabiorę, a mam zostawić fiskusowi — to lepiej niech się inni pożywią. Kubuś dostanie całą garderobę i porządki, za to, że mi wiernie służył, za chłopaka do butów, a co się z szufladek wygrzebie w gotówce i książeczek kasy oszczędności, to kto wie, czy nie pójdzie na kwiaty tej biednej panny Linci, siostry Karolka; tak mi coś do łba wlazło, żeby dziewczynię zrobić niespodziankę, ale co tam o tem! jeszcze przecie nóg nie zadzieram, po trzecich piętrach łażę, jak młodzik, chociaż sapię. Niech kto nie sapie z moją tuszą i sześcioma krzyżykami.

Ażem osłupiał ze zdumienia; przed bramą stała kareta, a przed jej drzwiami lokaj w granatowej liberyi. Co u licha, pan hrabia z taką pompą zajeżdżałby znowu po tem wszystkiem?... wizyta z taką ceremonją?... wgramoliłem się do ciemnego przedpokoju, w którym Antka roztargniona jakaś, trzęsąca się, jak pies na mrozie napadła odrazu na mnie z tajemniczym szeptem:

— Nie można teraz, proszę pana... nie można.

Dlaczego?

— A bo jest tam ktoś.

— Któż taki?

— Pani hrabina! — za głowę się wzięła.

— Co za jedna?

— A no... matka pana hrabiego; już siedzi ze cztery pacierze.

Mam szczęście włazić temu hrabstwu w drogę, no, to trudno; ale skorom tu raz przyszedł, to już zostanę, wytchnąć przynajmniej chciałem, przysiadłem na kuferku i dyszę; do saloniku drzwi były tylko przymknięte, mogłem słyszeć rozmowę. Dwa kobiece głosy mięszały się z sobą; w jednym czuć było wyniosłość, dumę, lekceważenie jakieś, w drugiem hamowane rozdrażnienie. Ten drugi, to był jej głos; musiała być bladą w tej chwili, jak chusta; przez ścianę to poznałem.

— Zrobiłam ten krok nierozważny — mówiła stara Bińska— żem aż tu przyszła, ale sądziłam, że dla spokoju mojej przyszłej synowej i honoru mojego syna powinnam zdobyć się na tę ofiarę... proszę mi nie kazać żałować tego kroku.

— Dałam pani hrabinie stanowczą odpowiedź, na inną zdobyć się nie umiem w tej chwili.

— Żądam zupełnego zerwania z panem Andrzejem, wydania wszystkich listów jego, zniszczenia fotografii, zejścia nam z oczu i wyjazdu na czas dłuższy, jeżli nie na zawsze. Co do bonifikacyi za te ustępstwa...

— Pani hrabino!

— Summę możesz... panna oznaczyć sama; żadna nie będzie dla nas za wielką na zmazanie tych fatalnych śladów, które tak nieroztropnie syn mój tu pozostawił. Młodość jest lekkomyślną, a zwłaszcza gdy są tacy, co ją wyzyskiwać umieją, to...

— Dość, pani — nie chcę przypominać, że jestem u siebie i nawet matce mego... kochanka nie pozwolę sobie ubliżyć. Tak pani, syn pani hrabiny mnie kochał, u nóg moich klęczał, szalał, gdy go odedrzwi zamkniętych odprawiałam, — miłość mi swoją przedtem ofiarował, zanim się ośmielił pierwszy bukiet tu przysłać. — Sądźcie o tem, co chcecie, wierzcie lub nie — nie wiele mi na tem zależy, ale pomimo wszystkich pozorów wiedzcie, że nie byłam towarem, który pan hrabia Biński mógł kupić — za daną cenę, jak tyle innych. Pani, kobieta uczciwa, poważna, dama wielkiego świata trudzisz się do mnie, do aktorki, kochanki swojego syna, aby honoru swej rodziny nie narazić na skandal z mojej strony; pięknie — uznaję to poświęcenie i szanuje je; dopóki przemawiała przez panią matka, słuchałam z pokorą i gotowa byłam do ustępstw, ale gdy się odezwała... kupcowa, która zaczyna targi ze mną o resztki mojej ambicyi i uczciwości, nie czuję się obowiązaną do żadnych względów, odmawiam wszystkiego, nie chcę żadnych układów... Wy macie swoją dumę, i ja mam swoją; nie porozumiemy się pani hrabino. Pani chodzi o szczęście i spokój swojej przyszłej synowej, a nie pytasz o to, że ja moje także kocham pani syna i może ta miłość jest mi droższą, niż wasze konwenanse rodowe?...

— Ja też zapytuję, ile ta miłość warta... na pieniądze? ten aktorski zapał, moja panno nie przekonywa mnie wcale, w waszym świecie deklamuje się ładnie, wiem o tem, ale...

Byłbym babę za drzwi wyrzucił, choć hrabina.

W saloniku coś brzękło, jakby szkło stłuczone.

Ona odezwała się głosem jakimś dziwnym, jakby ją kto za gardło dusił, syczała raczej niż mówiła, jak zdeptana gadzina:

— Dobrze kiedy chcecie targu, będzie cie go mieli — osoba pani syna i wszystko, co po nim u mnie zostało jest dla mnie warte miliony... więcej niż w całym waszym majątku posiadacie. Aktorka zagra z wami komedyą — pośmiejemy się wszyscy.. Skończyłam.

Musiała wyjść do drugiego pokoju i zatrzasnąć drzwi za sobą, bo po chwili nastała głucha cisza, a potem Bińska blada, z zaciśniętemi ustami, z głową opuszczoną, przeszła szybko przez przedpokój i wyszła, jak paw, spłoszony.

Potrzeba jej było przychodzić i w taki sposób sprawę traktować!.. myślała, że trafi na zwyczajną awanturnicę, a spotkała djabła wcielonego. Co jej tak bardzo zależało na tych listach — niechby jej byli nie rozdrażniali lepiej, zostawili w spokoju, zapomnieli, że żyje, a teraz będą mieli bigos. Z takiemi, jak ona, niebezpiecznie zadzierać...

Co miałem jej pokazywać na oczy w takiej chwili, chciałem się wysunąć cichaczem, wiedziałem i tak za dużo, ale bądź co bądź, to oburzenie jej — dalibóg, zrobiło na mnie efekt. Miała dumę, dziwaczną dumę, niekonsekwentną może, ale duma w ko-

biecie, to zawsze szlachetniejsza cząstka w duszy; t ylko jakżeż ona gnieść musi, kiedy się z nią upada!..

Brałem już za klamkę, gdy z pokoju odezwał się dzwonek, szarpnięty gwałtownym ruchem. Antośka pobiegła, jak oparzona..

Wróciła jeszcze szybciej, zawodząc:

— O Jezu, Jezu! co się też pani stało!

Tak, jak stałem, w szopach i w czapce na głowie, wpadłem do pokoju; na ziemi, przy łóżku, zastałem ją siedzącą — blada była jak trup,, oczy błędne, w jeden punkt zapatrzone, ręce konwulsyjnie splecione, po sinych palcach krew się sączyła... pogryzła je w szalonem rozdrażnieniu.

Nie widziała, nie poznawała nikogo. Podnieśliśmy ją z Antką z podłogi, ułożyli na łóżku, wodą i eterem trzeźwili — na nic się nie przydało. Dygotała, jak w febrze, zęby jej szczękały, a z piersi tylko jakieś rzężenie, zamiast głosu się wydobywało.

Piękna historya!.. jakbym przewidział, że będzie coś złego.

No, i było; ośm dni leżała bez przytomności.

Co tu gadać z temi nerwowemi kobietami, to jak z jajkiem trzeba się obchodzić.

Djabli nadali; wyszedłem na bonifratra, musiałem pilnować, siedzieć, okłady zmieniać. Jakżeż było opuścić ją!.. Jeszcze Karolek się przyplątał, ani by go kijem był wypędził; bardzo bo też nie wypędzałem, pomocnym był. Niema co, kochał ją naprawdę, poczciwem, młodem, głupiem sercem.

Tak się to dziwnie układają w życiu losy ludzkie; człowiek jak ćma, lezie w płomień i ani go powstrzymać.

Trzebaby ten cały świat przerobić, bo się zepsuło w nim dużo, stara konstrukcya nie wystarcza; ot bieda, a ten szelma Heine, co kpił ze wszystkiego, miał słuszność, że lepiej się było nie rodzić.

. . . .

Po pięciu tygodniach wstała i zaczęła wracać do zdrowia. Nie lubię się chwalić, ale gdyby nie ja i Karolek, byliby ją chyba do szpitala, albo na cmentarz wywieźli.

Ani żywej duszy nie miała w chorobie. A tylu za nią przepadało, dopóki była zdrową...

To tak zawsze; biedne te kobiety, w sobie noszą odrazu tryumf i porażkę.

Trochęśmy ją odżywili beefsztykami i winem węgierskiem. Podczas choroby spoufaliła się ze mną; często brała mnie za rękę, uścisnęła serdecznie, krótko, ale wymownie, łzy jej stawały w oczach, kat wie czego, a potem śmiała się z nich sama i powtarzała: «jakam ja głupia! ciągle mi się teraz na płacz zbiera.»

Kazała mi mówić do siebie po imieniu; jakoś mi to nie szło z początku, rozmawiałem z nią jak z dzieckiem:

— Niech Musia weźmie, niech Musia powie:

Raz odwróciła się odemnie do ściany i rzekła:

— Mam do pana prośbę; nie nazywaj mnie pan więcej Musią.

— Dlaczego? Wszyscy przecież tak nazywają.

— Właśnie dlatego nie chcę; mów pan do mnie tak, jak mnie... w domu nazywali, nazywaj mnie Helunią. Już tak dawno, jak nie słyszałam tego imienia...

Ha, nazywałem ją odtąd Helunią i mówiłem: ty, jak na Karolka.

Dziwna ta ludzka natura; przez egoizm człowiek się przywiązuje, przez przyzwyczajenie nieraz pokocha.

Wróciła wreszcie na scenę, zaczęła znowu grać i pracować, ale poznać trudno ją było; humoru dawnego i werwy nie było znać. Toalety coraz gorsze nosiła, za kulisami patrzali na nią ze złośliwym uśmiechem, jak na opuszczoną lwicę. Gryzło ją to, ale się zacięła, nie chciała się poddać.

Jednak przedemną otworzyła serce.

— Wiesz pan — rzekła mi raz — wczoraj sama sobie posłałam na scenę bukiet i paczkę cukierków, na złość moim koleżankom. Niech im się zdaje, że mam nowego adoratora.

Śmiała się z tego, jak student, co figla wypłatał profesorowi.

Opinja była uratowaną w jej przekonaniu.

Z Karolkiem byli teraz na dobrej stopie; bardzo sobie tego nie życzyłem, ale to choróbsko brzydkie wszystkiemu winno; odprowadzał ją teraz z teatru i do garderoby, biegał dziesięć razy dziennie za jej interesami, ale jakoś się uspokoił, pracował przytem, przyznał mi się nawet, że zaczął pisać dramat.

Życzliwą mu była, lubiła go widocznie, ale jakoś poczciwiej, niż wszystkich innych swoich wielbicieli, nie drażniła, nie przewracała w głowie, w sercu, w duszy. To gorsze; przestał szaleć, ale się zakochał jeszcze bardziej, a co jej przyszło z takiej miłości?... wystarczało na teraz, póki była jeszcze zmiętą, zbitą, zmęczoną moralnie i fizycznie. Spokój nie był jej żywiołem.

Ciąg dalszy nastąpi.

WILE.

przez

JANA ZAHARA.

Jeszcze żyją nasze wile!
Gdy wieczorny mrok zapadnie
Na obszary łąk kwitnące,
Strumyk szemrze słodko, składnie
Pieśń słowików brzmi po łące,
W górze gwiazdy, krąg księżyca,
Dusza rwie się w drżącem łonie,
Coś ją wzrusza i zachwyca,
Jakimś dziwnym czarem płonie,
Zda się z ziemi podniesiona.
Niebo chwycić chce w objęcia,
Lub je ściągnąć w głębie łona,
Albo wzbić się w lot ptaszęcia.
Nie są złudnym snem niebiosy,
Ich wspaniałość widzą oczy,
Chwałę rzucą wszystkie głosy,
Ziemia z niebem się jednoczy.
W tajemniczą ową chwilę
Serce bije — wstają wile!

Jeszcze żyją nasze wile!
Pamięć o nich w czar zaklętą
Strzeże pilnie ludu serce,
Jak spuściznę ojców świętą,
Że nie zginie w poniewierce.
Wziął wnuczęta na kolana
Kmieć stuletni, gołąb siwy.
Siedzi młodzież zasłuchana,
Dziadek prawi różne dziwy,
Słowa jego dusze grzeją,
Niknie smutek i tęsknota,
Życie stroi się nadzieją,
Miłość strzeże domu wrota,
Czucie prawdy niespożyte,
Miecz mścicielski chwyta w ręce,
Dziwnych uczuć skarby skryte
W przypowieści i piosence.
Błogo w życiu prostej rzeszy,
Że ją taka wiara cieszy!

Jeszcze żyją nasze wile!
Każda piosnka słodka, tkliwa,
Co po naszych polach dzwoni,
Zewsząd cuda wydobywa
I z powietrza i z wód toni,
Życiem pełni rzeki, strugi,
Gaje, pola, łąki, sioła;
W naszej ziemi jak dzień długi

Ciągle pieśni brzmią dokoła,
W pieśniach wile nam złożyły
Wieków dzieje różnej doli,
Roskosz życia, czar mogiły,
To, co cieszy i co boli.
Dziwne serca czuje bicie
Naród chwałą przodków dumny,
Gdy pieśń wiedzie go przez życie
Od kolebki aż do trumny:
Cała ziemia rajski eden,
Cała przeszłość jak dzień jeden.

Jeszcze żyją nasze wile!
Chwała Bogu, że nam daje
Tyle piękna, chwały tyle,
Te cudowne nasze kraje,
Gdzie mieszkają kraśne wile,
Że nam rodzą nasze niwy
Pieśni treści rozmaitej,
Co wciąż płyną w ton pieściwy
Z głębi dolin po gór szczyty.
Niechaj dłonie nasze strzegą
Aby obcy nam wydzierca
Nie mógł porwać skarbu tego,
Albo zatruć w piersiach serca.
Jeżli sięgnie po tę ziemię,
Ten skarb sercom naszym drogi,
My junaków bądźmy plemię,
Ostrą szablą bijmy wrogi.
Wtedy nad nią jako ptaszę
Wzlatać będą wile nasze.

Przełożył z chorwackiego Bronisław Grabowski.

KORESPONDENCYE „PRZEGLĄDU LITER.-ARTYST.“

Wiedeń w Lipcu 1885.

Koniec studyów w Akademii Sztuk Pięknych. Wewnętrzne stosunki akademickie. Künstlerhaus. Przyjemności wiedeńskie podczas lata. Wyścigi afrykańsko-europejskie.

Za kilkanaście dni kończą się studya w Akademii wiedeńskiej, urządzeniem ogólnej wystawy. W pracowniach „Meisterschuli“, kończą młodzi artyści na gwałt obrazy i rzeźby, jedni aby otrzymać nagrody, drudzy, aby utrzymać honor szkoły, inni znowu a najmniej jest takich, którzy pracują nad poznaniem prawdziwego ideału sztuki. O ile mogę sądzić dotychczas, to wystawa tegoroczna wcale ładnie wypadnie i to nie tyle ilością, ile jakością wystawionych robót. Chociaż daleko to jeszcze do dorównania Monachium!

Nie jest to jednakże winą uczniów. Na innem miejscu, pomówimy obszerniej o stosunkach wewnętrznych Akademii wiedeńskiej i o jej kierunku, dziś wspominam tylko nawiasem, że Akademia wiedeńska, jako zakład naukowy w swoim rodzaju jedyny w monarchii austro-węgierskiej, nie odpowiada sumiennie swemu przeznaczeniu, a to z winy niektórych p. p. profesorów, którzy trzymają się zasad wstecznych wobec dzisiejszego prądu sztuki i te zasady, jako widoczne znaki szkoły wiedeńskiej, chcą bądź co bądź utrzymać przy życiu.

Niektórzy z profesorów, w szczególności zaś najżarliwszy kapłan dawnego szematu mitologicznego, prof. *Griepenkerl* zajmuje się przytem gorliwie i polityką, a mianowicie szykanowaniem wszystkich Słowian w ogóle, a Polaków i Czechów w szczególności. Ta jego zawiść do Słowian weszła już nawet w przysłowie: *„hat ihm gern, wie Griepenkerl den Slaven!“* A jak miłe są stosunki wewnątrz profesorskiego collegium, to najlepiej illustruje fakt, że na opróżnione miejsce po ś. p. prof. Würzingerze w r. 1883 nie było między artystami żadnego amatora, i w końcu sam prof. Griepenkerl, objął osierocony kurs malarstwa.

Wakuje np. szkoła po *Makarcie*, szkoła po *Angelim*, który podziękował i ustąpił z profesury, a następców na te miejsca nie można wynaleść! Absolutnie *nie chcą* być w Akademii wiedeńskiej i nie kryją się, iż przyczyną są nieznośne stosunki wewnętrzne. Zaproszeni Defregger, Keller, Charlemont, Canon, wszyscy odpowiedzieli grzecznem podziękowaniem za uczyniony im zaszczyt.

Künstlerhaus wystąpił z letnią wystawą podzieloną aż na cztery oddziały.

Oddział akwarelli i rysunków ze zbioru księżnej Hohenlohe, tworzy pewnego rodzaju *pendant*, do urządzonej w zeszłym roku przez arcyksięcia Karola Ludwika, która obejmowała dzieła artystów po większej części niemieckich i to od połowy tego wieku do lat ostatnich.

Drugi oddział stanowią *malowidła i rysunki* przeznaczone do wychodzącego obecnie dzieła p. t. *„Allegorien und Embleme“* do których tekst napisał *Dr. Alb. Ilg*, dyrektor *Ambrosersamlung*.

Najwięcej zajmującym jest oddział trzeci, złożony z reprodukcyi wszystkich dzieł *Rafaela*; czwarty zaś oddział wystawy obejmuje najnowsze dzieła żyjących artystów, z których najwybitniejsze są: *„Udalrich i Bożena“*, Zeniska (Czecha), *„U notaryusza“* Müllera Ant., *„Nauka handlu“* L. Knausa, *„Pożądane wejrzenie“* i *„Auto-da-fé“* Schweiningera, *„Kapral belgijskiej piechoty“* L. Aubry'ego i *"Ucieczka"* Max-Ehrlera.

Pomimo, że obecna wystawa Künstlerhausu obliczona jest na tak zwany *„Fremdensaison“*, to panują pustki niemiłosierne we wszystkich czterech oddziałach.

Nieznośne gorąco, skrapianie ulic wodą w samo południe, formalne duszenie się w przepełnionych tramwayach i wiatr łączący zrywanie kapeluszy z grubszym pyłem granitowym należą do zwykłych, a wcale zresztą niepociągających podróżników — przyjemności „der schönen Weanerstadt!..

I wśród tej spiekoty nie można nawet użyć kąpieli rzecznej dla ochłodzenia! O, du blaue Donau! żebyś ty rzeko wiedziała ile złorzeczeń ciska na ciebie antisemita, mieszkający na Maryahilf! i z jaką nienawiścią zazdrości mieszkańcom Leopolstadtu, twego najbliższego sąsiedztwa, to zwróciłabyś swoje koryto na przedmieście wyborców posła Pataya! A największem życzeniem tego posła jest, abyś w najbliższym czasie wystąpiła z łożyska i pochłonęła wszystkich semickich Suesianów!...

Ale niestety! brzegi twoje omurowano, biegowi nadano kierunek, a dla obywateli Maryahilfu, zbudowano nową linię tramwayową, którą przy tym samym ścisku co pierwej, o dwie minuty wcześniej może się nurzać w twojem łonie.

Są to, tak zwane tutaj: *„Hundstäge“* „psie dnie“, trwające cały Lipiec i Sierpień. Wiedeń traci połowę mieszkańców swoich i nastaje najobrzydliwsza pora ogórkowa, zatruwająca powietrze bacciliami cholerycznemi dzienników z deutschnationalną barwą, które lepiej hodują się w sosie ogórkowym, aniżeli w rosole, jak twierdzi Dr. Koch z Berlina. Członkowie komitetu „zur Hebung des Fremdenverkehrs“ wyrywają sobie ostatki pozostałych na głowie włosów z rozpaczy.

Nie wiedzą bowiem jak i gdzie zabawić przybywających *obcych* do stołecznego miasta. Burgtheater zamknięty, *Opera* zamknięta, *Carltheater* także, *Wiednertheater* również,—otwarty za to *Fürsttheater*, na Praterze, w którym zamiast komedyi ludowych, produkuje się obecnie towarzystwo włoskich śpiewaków, noszących szumną, lecz excentryczną trochę nazwę: *„Osranich“* równającą się zapewne historycznemu znaczeniu nazw: Orsini, Bellani, lub Fidrygalkani.

Natura nie spoczywa nigdy, lecz niszczy to, co stworzyła i na odwrót. To też tej powyższe natury przypisać chyba wypa-

da zniszczenie pięknych nadziei towarzystwa „Helios“, któremu ulewny dwudniowy deszcz nie pozwolił urządzić wycieczki na Raalpy. Szczególniej w złym humorze bywa natura podczas urządzania fejerwerków, przy 28° Reaumura przez pyrotechnika tutejszego p. Stuwera. Z tym panem dzieje się zwykle to samo, co z p. Mądrzykowskim w Krakowie. Jak tylko publiczności *„za pieniądze„* pełno, to lojalna c. k. natura, w rozumieniu, że to strejk robotników, albo artystów dramatycznych, otwiera upusty i rozpędza tłumy do domów. Wyjątkowo działo się przecież w dniu św. Piotra i Pawła. Urządzono ogromne wyścigi „afrykańsko-europejskie“ między końmi, bicyklami i dromedarami. Dromedary były prawdziwe. Impresaryo, przebywających w Wiedniu Sudańczyków „prawdziwych Mahdistów“, pan Abdul Giudi, okazał się ogromnie bezinteresownym — i nawet na kilka dni przed wyścigami trenował swoje dromedary, nie dawszy im przez trzy doby nic do picia, zapewne dla lekkości. Ponieważ te biedne trzy wielbłądy, od dłuższego czasu chorowały na „uwiąd tarczy“ więc oburzenie ich nie miało granic i w każdym biegu zostały z własnej woli pobite. Jeden nawet był na tyle bezwstydnym, że udał chorego i położył się na środku areny dla wytchnienia.

Najszybciej jednak biegł sam Abdul Giudi, który ze wszystkimi pieniężnymi zakładami, złożonymi w jego niezabrudzone, lecz od urodzenia czarne ręce, urządził takiego drapaka, że ani nawet Bicykliści mimo wygranych trzech nagród dogonić go nie mogli, wskutek czego sprawę tę powierzono węchowi i nogom ajentów policyjnych; Dromedarów pobito więc Bicyklami!

Dziewiętnasty wiek rozumu i wynalazków zapanował nad dziką naturą dwukopytnych przeżuwaczy, a szlachetny, wyniesiony nad bicykle i dromedary *człowiek*, został panem rozumowego ekstraktu tego wieku, to jest pieniędzy! **R. L.**

PIEGI.

NOWELLA

Emila Peschkau'a.

Tłumaczył z niemieckiego **Nn.**

Wieś Weudel w pobliżu Berna, była przed wiekami siedzibą rycerzy szlachetnego rodu Weudelstein. Na wzgórzu, piętrzącem się ponad wsią, widniał na poł zrujnowany zamek, z ktorego zacni ci panowie wyprawiali się po łupy i inne zyski rycerskiego rzemiosła. Teraźniejszy posiadacz zamku z przyległościami zwie się wprawdzie rownież baronem Weudelstein, lecz w żyłach jego nie płynie krew dawnych panów. W młodości bowiem znano go pod nazwiskiem Lewi'ego, giełda zaś, nie wyprawy zbójeckie, dostarczyły mu środków do życia. Gdy z biegiem czasu uzyskał szlachectwo, przybrał przydomek «von Weudelstein». Później jeszcze zaniechał nazwiska «Lewi» i odtąd zwał się tylko: Serafin baron Weudelstein. Na zamek zjeżdżał raz do roku, by polować przez kilka tygodni w jesieni. Ciągnął ze sobą wozy, pełne nieprzemakalnych ubiorów myśliwskich, strzelb przeróżnego rodzaju i olbrzymiej ilości ładunkow. Miał się obawiać czego biedny zwierz leśny! Przez cały rok zresztą mieszkał w Wiedniu na Ringstrasse, gdzie miał własny pałac, lub w ładnej, stylem gotyckim budowanej willi w Vöslau, w zamku zaś panował samowładnie rządca p. Mislowicz wraz z swą córeczką Anulką. Miał on brata daleko, bo aż w Banacie, również rządcą dóbr, należących do hr. Terkely; brata tego niebiosa obdarzyły synem, studyującym już od pół roku chemiją na wiedeńskiej politechnice. Było więc rzeczą całkiem naturalną, że siostrzeniec podczas pierwszych wakacyj— była to Wielkanoc — odwiedził nieznanego sobie jeszcze stryja. Puścił się na tą wycieczkę tem chętniej, iż towarzyszył mu w niej kolega, Franciszek Wellisz, rodem z Berna, znający Morawy jak swoją kieszeń.

Obaj młodzieńcy, ku wielkiemu zadowoleniu gospodarzy ożywili jednostajnie spływające na Weudelsteinie dni, sami znowu znaleźli wszystko nad spodziewanie lepiej. Zamek był wcale ponętną siedzibą a zrujnowana jego część z zapadłemi murami, łukami śmiało w górę strzelającemi, wieżami, kryjówkami i podziemnymi gankami podsycała wyobraźnię i stanowiła teren zajmujących poszukiwań. Te ostatnie dawały sposobność do opowiadania rozmaitych pełnych tajemniczości baśni, a sprawiających pewne wrażenia w czasie księżycowej nocy u stóp ruin. Nie brakowało i innych rozrywek. Wędrowano po dużym lesie, otaczającym wieś, wdrapywano się na wzgórza i nadawano im rozmaite nazwy jak: pagórek Anulki lub Lewi'ego; wreszcie urządzano zabawy na dużym zamkowym dziedzińcu i spraszano na nie z całej okolicy wesołą młodzież obojga płci.

W tych wszystkich rozrywkach Anulka zajmowała pierwsze miejsce, a zarówno Robert jak i Franciszek nadskakiwali jej, o ile możności; pierwszy atoli, z natury bardziej w sobie zamknięty, nie stanął z kuzynką na tak poufałej stopie, jak drugi, śmielszy i żywszy. Kuzyneczka ta była milutkiem dziewczątkiem, obdarzonem ową chwytającą za serce naiwnością, o której Morawiacy twierdzą, że jest wrodzoną tylko dziewczętom ich kraju. Miała swój rozumek i pewne wykształcenie, a przecież była niekiedy tak roskosznie głupiutką, że gdyby nie jej czysty wzrok i poważny wyraz twarzy, możnaby ją posądzić o komedyą. Wesoła i swywolna, lecz nie lekkomyślna, z łatwością zmieniała srebrzysty śmiech w gorące łzy i naodwrót. Milutkie dziecko, rozumiejące się na żartach, nie żałowało całusa, gdy trzeba było wykupić fant. Był to zmysł prosty i czysty, nie pogardzający bynajmniej tańcem, lecz i niezaniedbujący pacierza, szczerze pobożny, niezachwiany w wierze, pomieszanej nieco z przesądami.

Pewnego południa spoczywał Robert w cieniu wieżycy, obrośniętej bluszczem. Rozmarzony spoglądał to na dymek, wydobywający się z zapalonego cygara, to na sinawe obłoczki przeciągające tu i ówdzie po lazurze niebios. Niekiedy otrząsał się z zamyślenia i zwracał wzrok na ładny a rozległy krajobraz lub też na założony u stóp wieży miluchny ogrodek. Nie było w nim nic szczególnego a przecież regularne trawniki, ładnie obcięte krzewy bukszpanu, tworzące płot naokoło kwater, ścieżyny wysypane białym piaskiem, i tu i owdzie rozkwitający pączek miłe sprawiały wrażenie. Mimowolnie przyszła na myśl Robertowi Anulka: ona również dla swej prostoty i naiwności jest czarującą dziewczynką, jakiej nie spotkał dotychczas. Podniecona jego wyobraźnia tworzyła z dymu najrozmaitsze — ulotne niestety — obrazy. Przyjemne to zajęcie przerwał mu nadchodzący ze dworu Franciszek, który oświadczył, że do poobiedniej drzymki nie czuje najmniejszej ochoty; dlatego chciałby niecopogawędzić. Rozumie się — dodał — jeżeli ci nie przeszkadzam w twoich marzeniach.

— Ależ bynajmniej — brzmiała odpowiedź, ton jednak głosu zdradzał nieprawdę. Franciszek zauważył przeto ironicznie:

— Zresztą nic nie szkodzi, choćbym ci nawet przeszkadzał. Wszelkie marzenia są bezowocne. Jeżeli się kochasz, dlaczego jej tego nie wyznasz?

— Ja — miałbym się kochać? — zawołał Robert, a lekki rumieniec pokrył mu lica. Ktoż to coś podobnego nabajał?

— Nikt nie potrzebował mi o tem mówić — spostrzegłem sam. Lecz przebaczam ci, gdyż Anulka jest śliczną dziewczynką.

— Cóż znowu!

— Nie jesteś mego zdania? A ja sądziłem, żeś zakochany po uszy.

— To źle sądziłeś.

— Daję słowo, że mam słuszność. Czy myślisz, iż nie spostrzegłem, jak się ty w nią ustawicznie wpatrujesz. Możesz zaprzeczyć? Cóż tam znajdujesz na jej twarzy tak ładnego, że i na chwilę nie spuszczasz jej z oka, skoro razem jesteście.

— Przecież nie jej piegi! — odpowiedział Robert z uśmiechem.

— Piegi? Nie spostrzegłem tego. Miałażby je rzeczywiście?

— I jakie jeszcze! Przyjrzyj się jej tylko dobrze, to znajdziesz pod oczyma olbrzymie.... Tak, tak, Franiu, ten twój krótki wzrok często ci szkodzi. Nie zapomnij nawdziać na nos szkieł, nim się chcesz zakochać, gdyż pewnego pięknego ranka mógłbyś spostrzedz, że zamiast żony poślubiłeś wielką plamę wątrobianą..... No, a teraz, gdy obydwaj nie możemy spać, chodźmy się przejść. Na szczęście znalazłem także dwa stare rapiry, więc pofechtujemy się nieco.

Zaledwie obydwaj przyjaciele ruszyli z miejsca, otworzyły się powoli drzwi wieży i ukazała się w nich główka Anulki. Skoro spostrzegła, że Franciszek i Robert zniknęli na zakręcie, wyszła czemprędzej, przebiegła ogród i wpadła do swego pokoiku. Z niezwykłą szybkością pochwyciła stojące na komodzie lusterko, stanęła do światła i popatrzała weń. Nie zwracała jednak uwagi ani na ładny owal twarzyczki, ni na zgrabny nosek, ślicznie zakrojone usteczka, lub dołki w podbródku i brunatne loki, otaczające jej czoło; nie spostrzegła łez, błyszczących się w wielkich błękitnych oczach; widziała tylko plamki, które szpeciły nos i policzki. Dawniej nie zważała na nie i bynajmniej nie frasowała się nimi. Wiedziała, że natychmiast, gdy ostatnie śniegi stopnieją na szczytach gór, każdy dzień gorący dodaje do nielicznych plamek coraz nowsze; wiedziała, że są to piegi, nie myślała jednak nigdy, że te piegi szpecą. Dzisiaj po południu zamiast, jak zazwyczaj, u siebie w pokoiku, odpoczywała w wieży, skracając sobie czas czytaniem i pończoszką, tam zakryta murem słyszała rozmowę obu młodzieńców. I ten kuzyn, któremu tak ufała, którego tak lubiła, ten kuzyn szydził z niej, wyśmiewał i wytykał jej piegi. To oburzające!

Od tej chwili zmienił się znacznie stosunek wszystkich osób do siebie. Anulka stroniła od zabaw, a jeżeli już musiała wziąć w nich udział, to była względem Roberta zimną i obojętną, gdy przeciwnie Franciszka jawnie kokietowała. Wypływające ztąd sceny zazdrości dawały powód do nowych niesnasek. Pan Mislowicz był niezadowolony, gdyż studenci nie słuchali już tak uważnie opowiadań z jego żołnierskiego życia; stara Marysia zaś, i tak niechętna owym odwiedzinom, wszystkiemi siłami starała się o podsycanie zobopólnego rozdrażnienia. Robert nieco wrażliwy z natury, spostrzegłszy chłód gospodarzy, postanowił wrócić do domu. Przy obiedzie, objawiając swój zamiar, bacznie obserwował Anulkę. Obojętnie bawiła się gałeczkami chleba. — Kokietka — pomyślał, obrażony do żywego. Nasamprzód ja byłem ofiarą, później Franciszek, teraz cieszy odjazd nas obu. Dopiero przy pożegnaniu zmiękł nieco i chciał pytać się, czy jest zagniewaną na niego. Spostrzegłszy atoli, że Franciszkowi podała całą rękę, a jemu tylko dwa palce — milczał.

Na szczycie tej samej wieży, w której podsłuchała Anulka młodych przyjaciół, siedziała obecnie i w lękliwem oczekiwaniu patrzała na drogę. Teraz wyszli z lasu; ona, mając wzrok dobry widziała raz jeszcze twarz Roberta. Potem odwrócili się i rześko maszerowali drogą. Anulka ścigała ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli, a potem upadła na ławkę i zapłakała — z boleści i gniewu.

Po tych wypadkach zmieniła się nie do poznania. Wesołość znikła, upór zaś i kaprysy panienki, dawniej tak sprawiedliwej i łagodnej, dziwiły całą służbę. Przesalała zupę, kładła chleb na stół odwrotną stroną i rozbiła lusterko; wszystko to niezmiernie przestraszało Marysię, gdyż nigdy jeszcze tyle złych znaków nie zeszło się razem. Anulka smutek zagłuszała gniewem i wmawiała sobie, że Robert jest jej obojętnym i tylko przez swoje szyderstwa ściągnął jej gniew na siebie. Nie chciała myśleć o kuzynie, a coraz bardziej za to przychodziły jej na myśl — piegi. Ach! gdyby się ich pozbyła, a Robert błagał wtenczas o wzajemność, z jakiem szyderstwem — — — Jaka szkoda, że to piękny sen tylko! Jaka szkoda, że nie może się zemścić! Jaka szkoda, że niema żadnego środka przeciwko piegom! Czy rzeczywiście niema żadnego? Stara Marysia, umiejąca na wszystko znaleźć lekarstwo, i tutaj potrafi pomódz.

Na pomarszczonej twarzy starej gospodyni zawisł uśmiech, gdy usłyszała żądanie Anulki. Więc to ta okoliczność rostraja panienkę? Ależ temu można nader łatwo zapobiedz.

Objaśniła zatem panienkę, co ma uczynić, by pozbyć się piegów. Twarz należy obmyć rosą; następnie z brzozową gałązką w ręku iść tak długo, dopóki nie napotka się pierwszego ładnego chłopca. Wtenczas trzeba prędko go pocałować — o co zpewnością nikt się nie rozgniewa — a szkaradne piegi znikną wkrótce na zawsze.

Anulka wierzyła wszystkim baśniom, któremi karmiono ją od dzieciństwa; była przekonaną, że zjedzony rankiem w nowy rok wieprzowy ozór przynosi szczęście i że wróży się złą przygodą, jeżeli kto rozbije zwierciadło; przy nadchodzącej pełni, obcinała sobie końce włosów, a w piątek nie robiłaby coś ważniejszego za nic w świecie, również nosiła przy sobie dziurawy cent na szczęście — sposób usunięcia piegów atoli wydawał się nieco za śmiały.

Starą Marysię gniewały podobne wątpliwości. Czyż nie radziła jej przed kilku miesiącami brodawkę na ręce przewiązać nicią i zakopać następnie tę ostatnią pod rynną? I czy ją w ten sposób nie wyleczyła? Anulka potwierdziła główką. Pocałunek więc będzie również skutecznem lekarstwem przeciwko piegom. A zresztą niema w tem nic niebezpiecznego, można w końcu prędko uciec, a każdy młodzieniec zachowa w pamięci całe to zdarzenie jako nader miłą awanturkę. Takiego całusa nikt nie może wziąć za złe, jak nikt nie bierze za złe całusa za fant. Na taki może się odważyć najcnotliwsza dziewica; ona sama przecież choć posiwiała w panieńskim stanie, za swych młodych lat nie zawahała się przed nim. I od tej chwili piegi nie szpecą jej twarzy, jak o tem każdy może przekonać się.

Teraz Anulka nie wątpiła o skuteczności doradzanego jej sympatycznego środka, zwlekała jedynie jego wykonanie. Lecz w końcu pozbycie się piegów i zemsta nad Robertem warta więcej aniżeli jeden całus. Kilku ładnych chłopców, jacy byli we wsi, należało do koła jej znajomych i każdego z nich pocałowała przy fantach już nieraz. Cóż to więc nadzwyczajnego? A zresztą krok ten należał do rzędu awanturek i psot, które tak lubiła. Na tę myśl zaśmiała się głośno i wesoło, smutek ulotnił się niespodziewanie, a z wielkich, błyszczących oczów przeświecała radość — —.

Nazajutrz przecież ponownie zabrakło odwagi. Przyrzekła jednak sobie samej, że czynu dokona, więc słowa nie złamie. Naprzód! Rosy jest cały ocean. Na liściach perliły się srebrzyste łzy, a trawa była do tego stopnia mokra, że Anulka z zimna poczęła się trząść. Obmyła twarzyczkę od rannego chłodu tak zaczerwienioną, że nikt nie dostrzegłby z pewnością nieznośnych plam. Urwała brzozową gałązkę i nuże na dół. Jakże ładnie rozwijały się drzewa i jak łaskawie spoglądała na nią Najświętsza Panienka, stojąca tuż przy drodze! Uklękła i szeptała paciorek. Czy to nie grzech, co czyni, czy to nie bezrozumna igraszka. Lecz Madonna z łaskawym, jak zawsze, uśmiechem spoglądała na dziewczynkę, która na klęczkach zasyłała ku niej błagalne spojrzenia.

Po chwili wstała i wachając się postąpiła kilka kroków naprzód. Tu rozdzielały się ścieżyny, z tych jedna prowadziła do wsi, druga do głównej drogi. Już chciała pójść pierwszą, gdy w tem dały się słyszeć kroki. Zadrżała i schowała się szybko za potężnym dębem. Bez tchu stała tam, śledząc i nadsłuchując. Niebawem dojrzała wysmukłego młodzieńca, wychodzącego pod górę wązką ścieżyną, a młodzieńcem tym był Robert. Serce zabiło jej żwawiej, purpurowy rumieniec oblał policzki — — — — Robert był pierwszym mężczyzną, jakiego spotyka, a że jest ładnym, to widoczne. Ze złocistym puszkiem na licach i z miłemi, ciemnemi oczyma wcale jest mu do twarzy. — — — — Lecz że to on, on właśnie — — —. Lecz owszem, to będzie najlepsza zemsta. Opatrzność tak zrządziła; o jakże jej za to dziękowała! I jak szczęśliwą była teraz!.... Zdecydowana wystąpiła szybko z poza drzewa i nim jeszcze Robert zdołał otworzyć usta, pocawała go. Pochwycił ją w objęcia i w czasie, gdy starała się uwolnić, spojrzał jej oko w oko i wykrzyknął: Więc kochasz mię, najdroższa! Lecz ona wyrwała się wreszcie i jak płochliwa sarna pobiegła do lasu.....

— Więc mię kochasz, najdroższa! Te słowa brzmiały jej w uszach, podczas gdy biegła po wilgotnym mchu. Co to ma znaczyć? Czyżby ją kochał? A ona—dlaczego ją tak palą wargi i lica? Zaiste to nie był całus, o jakim stara Marysia mówiła. — — A co on sobie teraz myśli o niej? Ze wstydu schowałaby się w mysią dziurę. Trzeba go zaraz odszukać i wszystko mu objaśnić, aby jej nie miał za bezwstydną. Co ona uczyniła, jaka moc pchnęła ją do tego szaleństwa.

Dogoniła go jeszcze na drodze i wyspowiadała się ze wszystkiego. W kilka minut później siedzieli na wieży i dopowiadali sobie resztę. Lecz Anulka dopiero wtedy całkowicie uspokoiła się, gdy Robert wyznał, że konceptu o piegach użył jedynie dlatego, aby odwrócić ciekawość Franciszka, ponieważ nie lubi nikomu powierzać tajemnic serca. Skoro następnie zobaczył, że ona traktuje go zimno, odszedł z głębokim smutkiem, postanawiając zapomnieć o wszystkiem. Lecz serce nie sługa, wrócił więc, aby się jej spytać, czy może być mu wzajemną, czy nie.

Tu koniec całej historyi. Środek starej Marysi zawiódł, bo pani Robertowa do dnia dzisiejszego ma piegi, które mąż jednak uważa za największą jej ozdobę. Lecz Marysia broniła się tem, iż ów pocałunek nie był zimnym i obojętnym, — a pocałunki miłosne, powtarza pogardliwie wzruszając ramionami — nie są środkiem sympatycznym.

Kilka szczegółów z historyi naturalnej ludowej.

Napisał

Karol Mátyás.

Nie można odmówić ludowi naszemu tak jak żywej fantazyi, bystrego i przenikliwego umysłu, zdolności spostrzegawczej i umiejętności badania, bo w tym względzie staje w obronie jego znaczna siła płodów jego ducha, które mu chlubne, świetne wydają świadectwo. Nie potrzebujesz nawet zgłębiać znacznego materyału etnograficznego drukiem już ogłoszonego, nie potrzebujesz też z podróżną laską od wsi do wsi chodzić, by przekonać się, czy to prawdą — w codziennej, zwykłej rozmowie z chłopem odsłoni ci się duch jego najpierw z tej strony, poznasz ten zdrowy rozsądek, tę prostą i silną logikę, a nadto bystrość umysłu, ciekawość i chęć pojęcia wszystkiego, co z jego życiem pozostaje w jakimkolwiek stosunku. Niema rzeczy, którejby nie usiłował w jakibądź sposób sobie wytłómaczyć, fantazya żywa niepospolicie w tem mu jest pomocną, bo co jest dlań niejasnem, to ona zaraz barwnym i czarownym blaskiem rozświeci. A śliczne, czarujące nieraz są jej obrazy, szczególnie na tle przyrody rysowane!

Na łonie przyrody żyjąc, zawarł z nią chłop ściślejszą znajomość, poufalszy stosunek — a gdy nań dola zła przyszła i odepchnięto go i wzgardzono nim, ona stała się jego „matulą.“ Całą swą istotą przyrósł on do niej, całem obliczem w nią się wpatrzył. Rzadko dusza jego wyrywała się z tego świata, który stał się treścią jego życia, bo dokądże lecieć miała, otoczona takimi cudami! Świat ten zupełnie jej wystarczał, w doli złej widok przyrody koił ją nawet i pocieszał. To obcowanie z przyrodą przyniosło chłopu niemałe korzyści, wytrzeźwiło i wyjaśniło wzrok jego, wykształciło smak estetyczny, uczyniło umysł jasnym i pogodnym — wyprostowało i zahartowało całą jego istotę.

Ostatecznym owocem tego stosunku jest doskonała znajomość przyrody i niepospolita zdolność tworzenia obrazów z dziedziny przyrody. Pierwsza objawia się w naturalnem, żywem przedstawieniu wszystkiego, co wchodzi w skład przyrody, w tłumaczeniu (choćby fantazyjnem) jej zjawisk i w znajomości jej użytku; druga nietylko w pięknem, barwnem obrazowaniu, lecz także w ślicznych porównaniach, trafnych i dobitnych przysłowiach, dowcipnych zagadkach i poetycznych symbolach. Obydwie ujawniają się nietylko w płodach jego ducha w obszerniejszem znaczeniu, lecz i w zwykłej, codziennej rozmowie.

Stanęliśmy w miejscu, gdzie droga nasza w dwie rozbiega się strony — drogami tymi są właśnie owe dwie właściwości dziecka natury — chłopa. Drogi te rozszedłszy się płyną równolegle do siebie, niejednokrotnie ze sobą się łącząc, jak dwie rodzone siostry. Wybierzmy pierwszą, a postępując po niej szybko, bo długa, wytknijmy przynajmniej główne jej właściwości i oznaczmy kierunek [1]).

Tak! lud nasz jest niepoślednim przyrodnikiem. Wiedza jego daleką jest od uczoności, od umiejętności, która w swych badaniach zacieka się głęboko, on zna i opisze przyrodę tak, jak dziecko zna i opisze matkę swoją, na którą codzień patrzy. Nie dziw więc, że zna doskonale jej życie, zjawiska, objawy, nawet szepty i westchnienia. W badaniu przyrody zwraca chłop większą uwagę na stronę jej życiową, niż na stronę zewnętrzną. Opisując np. zwierzę, poda wprawdzie jego celniejsze zewnętrzne znamiona, zwraca się jednak zaraz do opisu nierówie ciekawszego, do opisu życia, właściwości, usposobienia, pożytku itd. Traktuje zwykle rzecz porównawczo, dlatego opisy jego są żywe i naturalne. Umiejętnego klasyfikowania i grupowania osobników nie zna, ale umie je rozgatunkowywać według pokrewieństwa. Czy ono jest zawsze dobrem, słusznem, w to nie wchodzimy. Co do zewnętrznej strony opisów jego, zaznaczyć musimy styl prosty a dobitny, wyrażenia i nazwy dosadne, iście naturalne, lecz brak ładu w opowiadaniu.

Dla poparcia słów powyższych podaję cały szereg ciekawych opisów z dziedziny przyrody, które z moich notatek etnograficznych wyciągnąłem. Podaję je w tym stylu, w którym je usłyszałem z ust ludu, cytując zaraz miejscowość, z której pochodzą. Dla illustracyi niejednokrotnie dołączam charakterystyczne przysłowia i zagadki, lub wskazuję powiastki i piosnki, pozostające z rzeczą naszą w ściślejszym związku.

I. Świat zwierzęcy.

A. Zwierzęta domowe (koń, bydło, świnia — pies i kot).

Zwierzęta swojskie, przynoszące jakikolwiek pożytek (koń, wół, krowa, owca, świnia—pies i kot), pielęgnuje chłop z wielką

---

[1]) O zdolności ludu tworzenia obrazów z dziedziny przyrody zamierzyliśmy pisać w osobnej rozprawie, do której materyał przygotowujemy.

troskliwością, bo one niejako drugą połowę jego majątku stanowią. Przywięzuje się nieraz do zwierzęcia swojskiego, np. do krowy (zwłaszcza jedynej), więcej niż do dziecka swego. Gdy krowa padnie, biedzi i narzeka czas długi, po stracie zaś dziecka pocieszy się prędko nadzieją, że przyjdzie wnet drugie na świat. Któż więc znać może lepiej zwierzę domowe, niż chłop, który ciągle koło niego chodzi? On też znając najlepiej jego naturę, umie najskuteczniej poradzić mu w słabości — naturalnem lekarstwem. Przyroda cała stoi dlań otworem, do niej więc udaje się po leki.

Mówiąc o zwierzętach domowych, ograniczę się na podniesieniu głównej właściwości niektórych i na przytoczeniu kilku charakterystycznych, z życia ich wziętych, przysłów i zagadek.

Koń to ubione zwierzę dzielnego parobka. Na żwawym koniku przyjeżdża Jaś do swej kochanej Kasi. Ztąd bardzo dużo drobnych piosnek, w których parobek nuci o swym koniku, zwracając się od niego najczęściej do swej kochanki.

Bydło nazywają w niektórych stronach „gáwiednikiem" (Zawada pod N. Sączem). Bydło gada w Wilią Bożego Narodzenia. Powiastka o gospodarzu i jego wołach (powszechna).

Zag. Karpane, sywane, nika igłom nietykane (bydło srokate) S. [1]).

Ciele to póno jest nájgłupse w świecie (S.). Przysł. Głupi jak ciele (powsz.).

„Chodzi za mną, jak ciele mokre, nieoblizane" (bo jak cielęcia krowa nie oblize, to ciągle chodzi za nią i becy) (S.).

Świnia. „Jaki mi ta pán, trochy lepsy od świni" (Z.).

Pies. Ugardzone zwierzę (powsz) Adj „psi" w przekleństwach: psia krew, p. mać, p. dusza itp.

— Co oni na niej widzą (sc. złego)? Odp. Je pewnie pies na niej jest owiesony. S.

— Pies wołá: haw, haw, haw — zeby iść haw. P.

— Gdy pies ujada, pytają go w żarcie: Más ty nóz?, a on odpowié: mám, mám, mám. S.

— Słuchać jak pies trąby (powsz.).

— Psu to zawse kobylina na myśli. S.

Kot. Kot jak mówi: mru, mru, mru, to póno pácirz mówi. (Pob.).

Zagadka. „Siedzi panna w okienecku, mówi páciérz po miemiecku." (Kot jak wlezie na okno, to mraucy, mówi páciérz po miemiecku, ze go nikt nie rozumié). Sosnowice.

Kota sie pytá: Miáłeś dzieci? Ón powié: miáł—ale go trza za ogon pociągnąć. Potem sie go pytá: A wielaś miáł? — to on powié.

— Ino kot siedzi po ćmoku. S.

— Lezie na góre jak kocór. S.

— Gryzą sie jak pies z kotem. (Z. S.).

— Powiastki o psie i kocie. Obok powszechnej, tłumaczącej dowcipnie początek nieprzyjaźni między psem i kotem z jednej, a kotem i myszą z drugiej strony, słyszałem też powiastki, w których piesek z kotkiem w najlepszej żyją zgodzie i jedności, zapewne odnoszące się do czasów, kiedy ich przyjaźń nie była jeszcze zakłóconą.

B. Zwierzęta dzikie.

(zając, lis, wilk, pies ziemny).

Zając a królik to są jednego gatonku. Nieráz królik to jes akurat taki jak zając, z wirzchu jes bury a brzuch má biáły. Jak se przysiadnie gdzie w tráwie wele domu, to sie widzi tajak zając — zając i zając. Niejeden toby go zabiuł, jakby nie wiedziáł, tylko tyla, ze to przy chałpach. Zając tyz ku chałpie przydzie w zimie, nieráz mi tu przecie scypki (szczepki) obgryzały. Zając nájbardzi lubi kapuste a kóńcyne. Ráz mi zające w polu straśnie kupuste jadły, tom sie na nie zaszczyg (zastrzegł) i jednegom kijem zabiuł. Potem my go zjadły, ale já przecie wolę królika jak zająca, bo má lepse miso. Strzelcy to sie choć kiej tyla nachodzą za zającami i nic nie zabiją, a jábym bez strzelby nieráz zająca przyniósł, inobym se posed w kamieniec, w krzáki, tobym zaráz zająca przyniósł Rázem sed bez kamieniec, patrzę — a tu zając śpi w takiem dołku ku słońcu, chociem głośno sed, to sie nie zerwáł, jazem nad niego samego przysed, dopiro wtedy sie obudziuł i wyskocuł (Z.) [1]).

Lis jes gatonku psa. Ón tak sceká jak pies. A jak umié piskać na nosie! Jak zacnie piskać: iiii, to mu sie kura zaráz obezwie: kokkokoko, i to juz lis wié, gdzie kury są, i tam idzie. Lis to jesce lepiéj jak kot, mysy łapie. Ón bedzie tajak já, a mys tajak piec (długość izby), a ón ino hobnie, ze az sie kitom nakryje, i chyci mys w łapy.

Było mi dwanaście roków—opowiadał jeden chłop—pásem gęsi, a tu słysę nagle jak wołają: huś go! huś go! huś go!, patrzę— a tu lis leci koło płotu i tak sceká, jak pies: ham, ham, ham. Jak wpád do chróstu, takem go juz nie widziáł. (S.).

Wilk podobny jes do psa, jacy trocha więksy. Wilk jak głodny to sie i na człowieka rzuci i zajé. Nieráz jak wilk głodny w zimie, to do samej wsi przydzie, bo mu głód dokucy. (Por.). Wilk jak światło uźry, to ucieká, wilka nie odzenie prędzy od siebie, jak światłem. (Pob.).

Prz. Stoji jak wilk nade wsiom, (bo wilk jak przydzie nad wieś, to se stanie i patrzy, zeby co porwáł). (S.).

Prz. Gádájze z wilkiem pácirz, kie ón zawse mówi: owca, barán. (S.). Albo: Wilk do pácirza nieswarny. (S.).

Ciężkie nogi má tajak wilcysko. (Z.).

Świętego Mikołaja uważa lud za władcę i opiekuna wilków, jak nas o tem przekonuje powiastka, w której tenże co noc trąbą zwoływał wilków pod gruszę i wyznaczał każdemu inną ofiarę, zazwyczaj z dobytku ludzkiego, aż nareszcie i człowiek jeden przypadł im w udziale [2]).

Pies ziemny jes taki wielgi jak kot, a zából má więksy niz sám jes. W karku jes grubsy jak w sobie. Kopie sobie w ziemi takie doły i w nich chowá zimiáki na zime. (S.).

Ptaki.

Kogut — kura. Pół kokoski a pół koguta, to kurzeja. (S.)

Przysł. „Głodná jak młynarská kura." M. kura to sie nigdy nie nají, zawse dziubie. (S.).

W przepowiedniach pogody i słoty, a nawet w przesądach lekarskich kogut i kura ważną odgrywają rolę (p. przepowiednie). Niktby nie pomyślał, że czarna kura służy za lekarstwo na pomieszanie zmysłów. Coś podobnego wynaleźć mogła tylko fantazya gminna. Zdarzenie, w którem użyto tego dziwnego środka, było następujące: Kobieta pewna, nazwiskiem Cymborka, „zgwaryjowała." Posłano po doktora czarownika do Rydzowa, aby jej „odczynił". Doktór ów, przyszedłszy, kazał sobie dać czarną kurę, wziął ją za nogi i rozdarł żywcem nad głową chorej, tak że krew z kury ciekła po jej głowie. Wymawiał przytem jakieś czarnoksięskie

[1]) Skrócenia: S. (Sosnowice w pow. Wadowickim), P. (Pobiedr, w pow. Wadowickim). Por. (Poręba pod. N. Sączem) Z. (Zawada, ½ mili od N. Sącza), D. (Dąbrówka pod N. Sączem).

[1]) Całą księgę spisaćby można z opowiadań chłopów (osobliwie myśliwych) o zającu, którego pewnie najlepiej z dzikich zwierząt znają; nauki przyrodnicze — choć wszechstronnie pokazują nam to zwierzę — zyskałyby z nich może jaki nowy szczegół a przedewszystkiem myśliwi, których życie zająca żywo obchodzić powinno.

[2]) P. Karol Mátyás: Z fantazyi gminnej (Czas 1885, nr. 114).

i niezrozumiałe formułki, a po akcie zapytał, kto w chacie najstarszy. Powiedziano mu, że chora ma starą matkę. „Nie będzie jej szkoda, dosyć żyła na świecie“ — rzekł czarownik i kazał matce obłożyć głowę chorej tą rozdartą kurą i dwa razy jeszcze powtórzyć tę samą czynność. Lekarstwo miało pomódz, chora wyzdrowiała, lecz stara matka umarła [1]).

Kaczka swojska i dzika. Kacka dziká to jesce chytrzejsy lot má jak gołąb. Ona pod wodą siedzi tajak ryba. Nierázem sed brzegiem rzyki, to mi z pod nóg wyleciała z wody. Jak mi wyleciała nad głowę, tobym ją mógł kijem zabić, ale potem tak śmigała w górę jak gołąb. (S.).

Patrz przepowiednie pogody i słoty.

Gołąb. Gołąb sie nájwięcy tak ozywá: gruchu, gruchu, gruchu. (S.). Gołąb bardzo chytro látá. (S.).

Paw to jes pół djábła, a pół ptáka. Páwiowi póno djábeł skrzydła malowáł. (S.).

Sroka. Sroki to wielgie skodniki, ony nietylko zboze wydzióbują, ale i owoce obdzierają i drzewine psują. Zająca młodego to i sroki nieráz w polu zadzióbią. — „Sroka rzektá“. (S.).

Wrona. Wrony i kruki, zapewne z powodu, że czarne i przeraźliwy głos mają, w niektórych stronach poczytuje lud za ptaki sprzymierzone z djabłami, czarownikami itp. Na umierającego czarownika dom wrony i kruki z całej okolicy się zleciały, obsiadły cały dach i ściany jego domostwa, a krakaniu ich wtórowała straszna burza, srożąca się równocześnie. (Żarówka).

P. przepowiednie pogody i słoty.

Bocian. „Boceń to podobno z cowieka jes. Jak sie boconiowi krzywde robi, to on przyniesie ogień na dach, zapálone drewienko, abo co przyniesie w dzióbie i chálpe spáli“. (Sądeckie).

Wszędzie wiedzą, że bocian jest nieprzyjacielem żab, wszędzie też w tłumaczeniu żabich rozhoworów o bocianie jest mowa (p. żaba).

Na przelatującego bociana wołają: Kuba albo Giela! (S).

Albo: Kuba leju!
dej oleju
do kapusty
na zápusty. (P).

Wołają także: Kle-kle boceń, kle-kle,
Twoja matka w piekle,
A ociec za progiem
Śturchá dzieci rogiem.

Sowa. Sowa jacy w nocy widzi, w dzień to basz mało. W nocy to sie jéj ocy tak świécą. Póno sowa wywolá cłowieka, co umrze. (Z. D.)

Jak sowa zdechnie a samica, to powiadają, że dziewki we wsi „będą marły“; gdy samiec, to parobcy. (S.).

Sikora. Sikorka siecke rznie: „pitu, pitu, pitu, pitu,“ a ogonkiem trzęsie. (P.).

Przepiórka: Głos przepiórki zwiastuje, że zboże już dojrzewa. „Pódź po mnie! pódź po mnie! z nieckami, z nieckami, zabierz mie z dzieckami, z dzieckami. Podpálám, podpálám, podpálám, hoahe, hoahe...“ Óna gádá, ze sie zboze zapálá, że niby óna podpálá zboze, zeby śli ząć, bo óna nájwięcy w źrałem zbozu przesiaduje, tam má jeś. Ona tak cieniuśko gádá: pidpil, pidpil, pidpil. (S.).

„Przepiórka pożycyła ráz u chróściela sześć korcy przenice. Przy oddaniu chróściel krzycy, ze sześć pozycyła a ona sie zapira, ze pięć jacy. Teráz taką zwadke mają przez całe casy. Chróściel krzycy zawdy: sześ, sześ, sześ — a przepiórka: pięć pono, pięć pono, pięć pono. (Z.). *(Ciąg dal. nast.)*

[1]) Z Żarówki pod Radomyślem.

JEDNODNIÓWKA WARSZAWSKA.

(PISMO ZBIOROWE Z CELEM FILANTROPIJNYM).

Jeżeli się weźmie pod uwagę czas, w którym wydawnictwo powyższe się ukazało i warunki wśród których inincyatywa zamieniała się w czyn, to przyznać trzeba komitetowi (pp. Gawalewicz, Jenike, Pietkiewicz i Szymanowski) ruchliwość wielką i staranność. To mają bowiem do siebie złego wydawnictwa zbiorowe, że po za zaproszonymi, garnie się cała falanga płotek literackich, wyzyskujących sposobność, aby się ze szczupakami w jednym ukazać basenie. Ztąd przy „Ziarnie“ znalazła się niejedna plewa a przy okrzyku „Na pomoc“ zjawili się i tacy, którzy sami potrzebowali pomocy redaktorskiego ołówka. W wydawnictwie obecnem spotykamy mniej tych przygodnych współpracowników a zapisujemy to na dobro redakcyi. Rozejrzyjmy się, co nam przynosi „Pismo zbiorowe“.

Alfabetycznie rozpoczynamy.

P. Adelberg zachęca do zbierania „Przysłów“ i cytuje wydawnictwa niemieckie w tym celu podjęte. P. Bartkiewicz na tle „wspomnień młodości“ wysnuwa morał, p. Stan. Bełza zastanawia się nad „Dziadami“, p. J. J. Boguski ze zwykłą popularnością poucza o tem, „Co na zawsze w ogniu ginie“, p. Bogusławski ze „Świateł i Cieni“ układa barwne uwagi estetyczne, p. A. Borkowska podpisuje się pod aforyzmem. Toż samo czynią p. A. I. Cohn i ks. Chełmicki. „Błazny“ p. Czernedy (Bierzyńskiego) są pięknie obmyślaną nowelką. Biorąc asumpt z „Lokomotywy“, p. J. W. Dawid snuje szereg przypuszczeń, p. Dębicki mówi o „Psychologii“, p. Dobrski przypomina, że Sienkiewicz napisał słabą powieść „Na marne“ (Pamiętaliśmy!). P. Danielewicz podaje niepewną receptę na biedę w postaci... arytmetyki. P. Dygasiński przypomina „Obowiązki pedagoga“, które dla każdego stanu przydać by się mogły. Ksiądz Filochowski zwraca się ku niebu, a p. Faleńska, bodaj czy nie pierwszy raz nie przetłumaczywszy, konstatuje w dzieciach „przedwczesną dojrzałość“. J. K. Gregorowicz przenosi nas na wieś, p. Gadomski żąda „ciemności“, p. Michał Grzymała zaznacza się nowelką „Przed i po“... Notatka p. Gajzlera jest czysto bibliograficzną. Radzimy odczytać p. H. Goldsteina „Choroby wieku“, p. Franciszek Gliński wkłada na kasę Mianowskiego nowe obowiązki. P. Grajnert narzeka na „Najcięższą klęskę“. Po raz pierwszy spotykamy się z nazwiskiem p. Gieysztora. Jordan napisał humoreskę—to dosyć. „Wezuwiusz“ p. Jurkiewicza ciekawie się czyta, niemniej pełne głębszej myśli zdania p. Kotarbińskiego, aforyzm Kaz. Kaszewskiego i uwagi ks. Krupińskiego. P. Kośmiński reprezentuje humor z powodzeniem. P. Kramsztyk oświadcza się przeciw terminologii obcej w nauce. Dalej idzie szereg nazwisk dobrze znanych: pp. Krzemiński, Kamiński, Kościałkowska, Kenig, Junosza, Lubowski, Leo, Łętowski (z fragmentem z Kambyzesa), Marrenowa, Maleszewski, Martynowski, Matuszewski, Mellerowa (z doskonałym aforyzmem), Meyet, prof. Miklaszewski, wreszcie nieznany szerszemu światu Marantos i oryginalny Stanisław Kostka z podpisem „Literat warszawski“. Językiem nowelli odzywa się rzadko pisujący Julian Moroz i Mario, o którym Estreicher nie wspomina. Orzeszkowej „Legendę“ przedrukowały prawie wszystkie pisma, to ją tłumaczy, p. Ochorowicz wyciął kartkę jakby z „Notatek psychologa“; „Cienie“ Bolesława Prusa każą żałować, że nie mamy dotąd zbiorowego wydania pism tego pierwszorzędnego nowellisty; p. Przybylski kreśli nekrolog śp. Rychterowi.

Długi szereg nazwisk podpisanych pod rzuconymi na jałmużniczą tacę aforyzmami uzupełniają, p. Michał Wołowski nowellą:

Skazany, p. K. Zalewski sceną z komedyi „Lis w kurniku“, p. A. Zalewski „Reklamą“, p. Chmielowski wzmianką o „Dolinie Mickiewicza“, kończy zaś uwagami pedagogicznemi p. Plebański.

Zauważyliśmy nieobecność Świętochowskiego, Sienkiewicza, Wiślickiego, Choińskiego, Sabowskiego i kilku nazwisk, które spotykamy w prasie.

Godnem uwagi jest wystąpienie poetów w tem wydawnictwie. Kto bowiem czyta uważnie nasze dzienniki i tygodniki, widzi, że rymowane utwory, zwłaszcza wartościowe należą do rzadkości i ktoby sądził o ilości poezyj w czasopismach umieszczanych, mógłby sądzić, że w mowie Bogów u nas ludziska nie są wprawni. Tak źle nie jest, trzeba tylko czekać okazyi. Ręczę np. że bez tej okazyi nie przeczytalibyśmy „Początku poematu“ Aspisa. Jestto rodzaj kartki, wydartej z albumu, którego świat miał nie oglądać; kartka jednak zasługuje na podpis autora „Sulamity“.

W ogóle znaczna część poetów występujących w „piśmie zbiorowem“ to dziatwa Apollina, która za lutnię chwyta w razach nadzwyczajnych, codziennie rzucając na zagon dziennikarskie ziarna. Do takich należy p. Bohusz, zręczny feljetonista, który zanucił dwie pieśni: wieczorną i poranną, Czesław, częściej dziś jako dziennikarz występujący niż poeta, Korwin, humorysta nie bez zacięcia satyrycznego, Czernicki, Gawalewicz (n), dający w ślicznych „Iskierkach“ takie określenie:

„Są łzy, co w duszy, jako głownie palą,
Są serca, co się nikomu nie żalą.
Są smutki, których nikt już nie pocieszy,
Są winy, z których Pan Bóg nie rozgrzeszy,
Są krzywdy, którym nie dano sędziego —
Chcesz łatwiej cierpieć — nie pytaj dlaczego?

P. Gutowski z „Balladą“ o żabce i kukulce, Korotyński, P. Lejowa, A. Pilecki, rzadko dziś pisujący rymem, Podwysocki, coraz bardziej ku poezyi religijnej się zwracający, Rogosz, powieściopisarz (bodaj że jedyny reprezentant Galicyi) stawiający sobie dość efektowny „Nagrobek“, A. Trylski, jak zwykle z „Bajką“ stający do apelu. Pn. Triplinówna, prawiąca o „Szopenie“ wreszcie Włodzimierz Zagórski z „Fragmentem z Salomona“. Dalej Deotyma ryje płaskorzeźbę „Psyche i Fenix“, Felicyan (Faleński) pociesza i zachęca na „drogę krzyżową“, Gomulicki kończy swój świetny fragment.

„O roskosz łatwo... kupczą nią po kramach,
Jak każdym innym łakomym towarem...
Kto sam na siebie uczynić chce zamach,
Ten do przesytu obkarmia się czarem,
W usta pcha słodycz rękoma obiema...
O roskosz łatwo, — szczęścia za to niema.“

Ilnicka pod wrażeniem Ary Szefera napisała „Chrystusa pocieszyciela“ a p. Jaskółka, znalazłszy serce, które nazywa „Świętojańskiem kwieciem“, „biblijną tęczą“, „przystanią“, „gwiazdą“, woła „Eureka“. Hajota na smutną nutę nastrojona, ze wspomnień nitki snuje „sonet“.

Jenike dał przekład „Wstępu do Fausta“, a tłumacz „Fausta“ A. A. K(rajewski) przekład „Pierścienia Polykratesa.“ Zawsze stający do apelu Kraszewski:

„Z pod ciemnych krat“

nie chce długo pisać, twierdząc:

„Pocóż na targ
Jęków i skarg
Rzucać wzgardzone łachmany.
W sobie je zgnieść
Milczeć i znieść
Godniejsza duszy znękanej.“

„Fragmentem“ darzy Konopnicka, pełny siły i wyrazistości. A. Pług (Pietkiewicz) w „odpowiedzi na skargę sieroty“ mówi:

„Żali nie lepiej nie mieć nigdy róż
Niż mieć, gdy w życiu tak straszne pustkowie,
Że darzyć kwieciem niema kogo już.“

Szymanowski dał poważnego treścią i formą „Jehowę“, Sowiński pełne siły „Pytanie“.

Jest też kilka nazwisk, mało popularnych, (Czekan, Szczęsna, Or-ot, Skabioza). niektóre, jak Skabioza korzystnie się rekomendują.

W dziennikarskiej, dorywczej notatce, może niejedno przeoczyliśmy; niech nas wytłumaczy pośpiech. Całość wydawnictwa, zdobionego winetą Gersona i rysunkiem Andriolego przedstawia się jak różnobarwny bukiet. Zachęcać do kupna nie widzimy potrzeby, powinien to każdy *za obowiązek uważać*, przypominamy jedynie, że na wydawnictwo złożyli swe wdowie grosze ci, którzy najmniej ich mają, ale najwięcej serca i poczucia obywatelskości. Niechże ich praca będzie uwieńczona powodzeniem, na które wydawnictwo zasługuje. **A.**

KRONIKA.

Jak często się myli vox populi mamy świeży przykład przed sobą. Według utartej opinji dziennikarze mają być najzłośliwszym narodem na świecie, — tymczasem tak nie jest. Palmy pierwszeństwa pod tym względem muszą oni ustąpić muzykom, a zwłaszcza recenzentom muzycznym; pomiędzy ostatnimi zaś przedewszystkiem krytykom «Konrada Wallenroda» Żeleńskiego.

Proszę sobie bowiem wyobrazić ile ironji, złośliwości, potwornej zawiści, szatańskiego szyderstwa mieści w sobie frazes recenzenta N. Reformy głoszący, iż «Konrad Wallenrod» jest «ostatnim wyrazem polskiej sztuki muzycznej». Czyż można przypuszczać, aby pan ten jednem pociągnięciem pióra śmiał zepchnąć na drugi plan całą sztukę polską z Szopenem i Moniuszką na czele? Jestto tylko brzydki docinek, gra słów polegająca na wyrazie *ostatni*, pozwalającym zarówno domyślać się, iż recenzent Konrada uważa za najlepszy utwór muzyczny, lub też, iż w chronologicznym porządku «Konrad» jest *ostatniem* większem dziełem w dziedzinie polskiej muzyki, albo też nawet, że jest najgorszym, *ostatnim* utworem w tym szeregu.

Złośliwość recenzenta N. Reformy w równym stopniu posiada i recenzentka tegoż dziennika, której trzy fejletony o Wallenrodzie zakrawają na formalną satyrę, a gdzieniegdzie błyszczą prawdziwą humorystyką. Jeżeli bowiem recenzent nazywa motyw trąbkowy «świeżym i prześlicznym jak poranek majowy», to recenzentka słyszy w dźwiękach muzyki «kopyta końskie i trzask łamanych gałęzi». Według recenzenta dość kilkunastu taktów i znajomości kontrapunktu, aby «stworzyć czarująco piękny obraz średniowiecznego świata», recenzentce te same takty i taż znajomość kontrapunktu wystarczają do obudzenia uczuć «potężnych jak niezgłębione puszcze Litwy, strasznych jak zakon krzyżowy, przygniatających grozą jak zemsta mściciela.» Dla recenzenta instrumenta drewniane wydają «barwy», a barwy według niego są ciałami stałemi, bo «podpierają» psalmodujące modlitwy mnichow-rycerzy — recenzentka znowu słyszy najwyraźniej w muzyce huk walących się dębów i to nie innych dębów tylko dębow «białowieskiej puszczy». Dla recenzenta pieśń jest cieczą, bo «oblewa słuchacza pełnym i szerokim strumieniem»; recenzentka w rozmaitych bum-bum i trarara odczuwa «całą potworność tej straszliwie wzniosłej zemsty». Resztę «straszliwie wzniosłych potworności» stylowych i logicznych darujmy już obu płci recenzentom.

«Konrad Wallenrod» Żeleńskiego jest bezwątpienia dziełem niepośledniej wartości, «umiejętność» muzyczna niema mu podobno nic do zarzucenia — ale jako opera nie posiada warunków utrzymania się na scenie. Kto od muzyki żąda melodji, kto pragnie, aby go ona zagrzała, przemówiła do uczucia, poruszyła serce, zentuzjazmowała—ten wychodzi z Konrada Wallenroda całkiem niezadowolony. Uczucia i melodji nie zastąpi największa biegłość w technice kompozytorskiej. Najwytworniejsza forma w wierszowaniu nie stanowi jeszcze poezyi. Publiczność «Konrada» słucha na zimno, nie zapala się, nawet Alpuhara, która w deklamacyi robi

tak potężne wrażenie, przechodzi bez oklasków, bez zapału. Znawcy, a raczej uchodzący za znawców, bo o tych u nas nie trudno, pragną przekonać, że Konrad ma wszelkie warunki opery. Ależ w rzeczach sztuki, panowie znawcy i pseudoznawcy, decyduje wrażenie, a nie naukowa dyskusja. Pomiędzy profanem a znawcą ta tylko powinna być różnica, iż pierwszy piękno czuje, a drugi umie sobie wytłomaczyć dlaczego je odczuwa. Piękny obraz ogół podziwia, choćby nie miał pojęcia o technice malarskiej, koło innego przejdzie obojętnie, choćby mu godzinami tłumaczono jego techniczne zalety. Z czytających i podziwiających «Pana Tadeusza» zaledwie dziesiąta część ma jakie takie pojęcie o fakturze poetyckiej, a jednak czuje całe piękno utworu. Prawdziwe natchnienie zawsze do mass przemówi.

Kiedy Rossiniemu jeden z adeptów sztuki dawał do przejrzenia pierwsze swoje kompozycje muzyczne, Rossini przyznał im wysokie zalety, jako wykończonym według wszelkich zasad sztuki, lecz dodał: «napisz pan kilka taktów, w których byłaby melodja, a nazwę cię kompozytorem.» I choćby tam stu znawców nietylko w N. Reformie ale i w innych, powodzią dotkniętych dziennikach galicyjskich, dowodziło niepospolitej piękności Konrada jako opery, to dziesiątki tysięcy przyklasną słowom Rossiniego i z chęcią pojdą na trzechsetne trzecie przedstawienie Halki w Warszawie, bo ją czują i rozumieją, bo do nich przemawia melodja, a zostawią znawcom napawanie się kanonami, instrumentacją i Leitmotiwami Konrada. Uczynią to wreszcie choćby dlatego, że pieśń Jontka lub Halki płynie prosto, bez przerwy do ich serca i nie potrzebują odpoczywać po każdym wyrzuconym przez śpiewaka frazesie. Czyją to jest winą, nie wiem, ale profanów musi razić, kiedy arcykomtur zacząwszy: «Dziś pod narożną wieżycą», czeka sobie spokojnie, aż orkiestra dobrze się wygra i dopiero w chwil kilka kończy: «Mistrz rozmawiał z pustelnicą.» Czyni to wrażenie jakby się kto zająknął i po ciężkich trudach zaledwie głos odzyskał. A takiemi przygrywkami, rozrywającemi każdą arję na cząsteczki, Konrad jest przepełniony. Może to zgodne z zasadami sztuki, może piękne dla znawców, ale niezmiernie nużące słuchaczy. Wszystko to *oblewa* jak chce p. Gall «szerokim strumieniem», ale strumieniem... zimnej wody. Nie poradzi na to ani «motyw trąbkowy, prześliczny jak poranek majowy,» ani nie *podeprze* tego żadna «barwa instrumentów drewnianych.»

Znawcy powiadają, że jeżeli tacy jak ja profani sześć razy usłyszą «Konrada», to za siódmym razem zrozumieją go, odczują, zachwycą się. Być bardzo może, — ale ja bym wolał zacząć wprost od siódmego razu, bo pomimo wszelkiego patrjotyzmu, a ztąd zapału do sztuki narodowej, nie czuję się na siłach sześć razy wytrzymać Konrada. Zresztą byłoby to tylko przyzwyczajenie się do jego muzyki, ale nie zapał udzielający się odrazu, a przyzwyczaić się w końcu do wszystkiego można. Sąsiad mój z przeciwka tak się przyzwyczaił do swojej złej i brzydkiej żony, że wysławszy ją obecnie z owocami miłości na wakacye, chodzi jak struty, bo bez swojej Klarci i karesów jej silnej dłoni wytrzymać nie może. Ja sam już tak się przyzwyczaiłem do blagi naszych recenzentów, iż doprawdy pojąć nie mogę, zkąd mi przyszła ochota do sprzeczania się z nimi?

Najzabawniejszym zarzutem jaki spotyka tych, co chłodno przyjęli operę Żeleńskiego jest zarzut ni mniej ni więcej tylko braku poczucia obywatelskiego. Hola! panowie znawcy od Siedmiu Boleści! szafować takim zarzutem nie wolno! Zła to obrona sprawy, kiedy się takiemi trzeba posługiwać argumentami. Występnym jest ten co gani nasze, dlatego, że jest nasze, ale nie mam za mądrego tego, co chwali nasze jedynie dlatego, że nasze. Sentymentalność taka nie pomaga sprawie, lecz szkodzi, wyradza bowiem zarozumiałość, tworzy słomiane wielkości, jest chorobą a nie oznaką zdrowia. Nie przeceniajmy siebie i sił swoich, a pożyteczniej dla kraju pracować będziemy. Cieszmy się, że mamy na polu muzyki Żeleńskiego i innych zdolnych kompozytorów, którzy zdobyli sobie pracą i talentem poważne stanowisko, ale nie chciejmy nimi zbytnio imponować światu, a wreszcie jeżeli idzie o «poczucie obywatelskie», niechaj «motyw trąbkowy prześliczny jak poranek majowy» nie obala sławy naszych Szopenów i Moniuszków, których każda nuta po wieczne czasy będzie nam drogą.

«Poczucie obywatelskie» ma wiele do zrobienia poza przesadzonemi chwalbami utworów sztuki, nieszczęście jednak, że tam, gdzie się objawiać powinno, niema go prawie wcale. Przykładem instytucja Sokoła. Czem gimnastyka jest dla ciała, a czem silne ciała jednostek dla społeczeństwa, dowodzić nie potrzeba, bo to cały świat ucywilizowany uznał i zrozumiał. U nas kłótnie i frazesy i tak zwana walka zasad, będąca w gruncie rzeczy walką osobistości o wpływ i władzę, odsuwały na drugi plan spokojną i pożyteczną pracę nad tym pierwszym warunkiem rozwoju młodego pokolenia. Trzeba było aż przyjazdu Czechów do Krakowa, aby pomyślano nareszcie o założeniu instytucji gimnastycznej. Założono ją wreszcie, otwarto tymczasową gimnastykę, lecz zaraz spotkano się z obojętnością. Sokoł krakowski liczy obecnie 300 członków, a powinien ich liczyć dziesięć razy tyle, jeżeli ma wywrzeć wpływ zbawienny na całe młode pokolenie. Składka 50 ct. miesięcznie nikomu nie uczyni uszczerbku, a da moralne zadowolenie, że się czemś przyłożyło do ogólnego dobra. A jednak tak mała liczba dotychczas zapisanych! Ta nieszczęśliwa polityka, ta dziecinna «walka zasad» i tu swą zimną rękę położyła, mrożąc zacne usiłowania. Ponieważ do komitetu Sokoła wybrano pana A., który według przekonania sfer konserwatywnych petroleum pije zamiast kawy, jada barszcz z uszkami oo. jezuitów, a z dynamitu kręci sobie papierosa, przeto wybór ten uznano za dowód oczywisty warcholsko-nihilistycznych dążeń Sokoła. I choć będziesz zaręczał, iż sam zasiadając w komitecie ani słówka nigdy nie słyszałeś o niczem innem jak tylko o wprowadzeniu w życie i rozwoju zakładu gimnastycznego, chociaż będziesz przysięgał, iż «Sokół» ani w sprawie wyboru burmistrza, ani zakładu gazowego, ani pomnika Mickiewicza głosu nie będzie zabierał, że obojętni mu będą zupełnie p. Rapaport z Laenderbankiem, p. Sokołowski z estetyką, p. Dobrzański z operetką, p. Koźmian z p. Wilkoszem, Czas z Djabłem i Reforma z Biczem—to nikt ci z tego grona nie uwierzy i przechodząc koło «Sokoła» żegnać się będzie z przestrachem, uważając samo sąsiedztwo jego z placem zwanym Latarnią za oznakę krwiożerczych usposobień instytucji. «Poczucie obywatelskie» zawiesi się na kołku, dając wodze poczuciu małostkowej zawiści i małomiasteczkowej nienawiści. W takich stosunkach nic dziwnego, że Towarzystwa Oświaty nie popierali konserwatyści, dopóki liberali należeli do komitetu, tak jak dziś naodwrót szydzą z niego postępowcy, ponieważ w skład zarządu weszło kilku konserwatystów. I jak w takich stosunkach można marzyć o postępie społeczeństwa na drodze rozwoju sił umysłowych i fizycznych? Apatja, sobkostwo, wzajemne niedowierzanie sobie, wzajemne szczucie na siebie za pomocą dużych organów i małych piśmideł, niszczenie dziś tego, co wczoraj zrobił «przeciwnik polityczny» — oto jedyne rezultaty naszej krakowskiej «pracy organicznej». Wobec tego trudno się dziwić, że nic, oprócz chyba «ogrodu krakowskiego» p. Rehmana, udać się nie może.

«Sokoły» tak dalece pragnęli i pragną odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia o jakieś polityczne lub manifestacyjne zachcianki, że, z pominięciem obowiązków grzeczności, nie oddadzą w tym roku rewizyty Sokołom czeskim. Niby w tem nie było złego, a jednak prosta obawa przed gadaniną: «oho! urządzają sobie demonstracyjki» powstrzymała kierowników Sokoła od projektowanej wycieczki. Na ołtarzu dobra publicznego złożyli ofiarę i zrobili ustępstwo — może się też przecież doczekają uznania i poparcia.

Sokoły do Czech nie jadą, ale za to 300 Czechów ma przyjechać dla wyręczenia nas w służbie kolejowej. Zapowiedź tych miłych odwiedzin niewdzięczny kraj przyjął z niezadowoleniem i mało brakuje, aby jaki anarchista nie powiedział: «ślicznie dziękujemy, ale się obejdziemy.» Najazd ślecznej Pospiszilownej przyjęliśmy sympatycznie, z przyjemnością ujrzymy Irmę Reichównę, serdecznie gotowiśmy uściskać naszych pobratymców i piękne pobratymki, jeżeli przybędą do nas na dni kilka, ale trzystu Czechów z tyluż przynajmniej czeszkami i niezliczoną ilością małych czesząt ek i to na stałe — to nieco zawiele miłości pobratymczej. Bójcie się Boga, panowie Czesi! narzekacie, że pół na pół jest Niemców w waszym kraju — jakże ich być niema, kiedy tak masami emigrujecie nawet tam, gdzieby się bez was całkiem obeszło. Śpiewacie: «Kde domov moj», a opuszczacie go z równą obojętnością jak pierwszy lepszy szołdra niemiecki.

Może powyższe słowa są nieco za ostre, ale bo też przebiera się miarka cierpliwości. Nasi technicy giną z głodu, co drugi zaledwie z trudem zdobywa sobie kawałek chleba, a tymczasem obcy na naszej ziemi panoszą się i gospodarują w niej jak na własnych zagrodach. Dla Wiśniewskiego i Olszewskiego niema sztuki mięsa, a Wywratil i Wystrugal zjada nelsony z pieczarkami i zakrapia je maderą.

We Lwowie znowu oburzają się na kogo innego, a mianowicie na kuratora fundacyi skarbkowskiej. Powodem do tego obecność na egzaminie w Drohowyżu jakiejś tajemniczej osobistości, której nawet nazwiska dzienniki lwowskie wymienić nie chcą. Według domysłów moich był nią Bismark. Któż bowiem inny mógłby obecnością swoją doprowadzić do takiego oburzenia, iż przez całe dni dziesięć dziennikarstwo lwowskie kipi wściekłością, a z wielu stron dochodzą mnie wieści, iż w skutek pobytu tej osobistości zachwiane jest stanowisko kuratora. Jeżeli domysł mój prawdziwy, trudno doprawdy dziwić się oburzeniu. Po świeżych wydalaniach Polaków z państwa pruskiego, dobrze zrobił pan dyrektor, że na egzamin nie przyszedł, — również od księdza katechety trudno wymagać, aby pomnąc na «ustawy majowe» znajdował się w takiem towarzystwie na egzaminie. Tylko w ten sposob można wytłumaczyć, że panowie ci, bez względu na obowiązek i dobro instytucji, usunęli się od współudziału w uroczystym popisie. Każda inna bowiem osobistość mogła być bardzo niemiłą a nawet wstrętną p. dyrektorowi i ks. katechecie, ale to jeszcze nie upoważniałoby ich do dziecinnych demonstracyj i uchylania się od obowiązku.

Po wycieczce drohowyżskiej wracam do Krakowa i piszę reklamę dla p. Rehmana. Założony przez niego «ogród krakowski» udał się zupełnie, o czem już wspomniałem. Nie będę pisał, że Kraków powinien być wdzięcznym p. Rehmanowi, bo on nie dla wdzięczności Krakowa, ale dla własnego interesu ogród zakładał, — osobiście jednak muszę mu podziękować za stworzenie nowego miejsca przechadzki i zabawy, urządzonego z komfortem europejskim. Widząc zaś jak się wszystko p. Rehmanowi «udaje«, stawiam pokorny wniosek: rozwiązania komitetu mickiewiczowskiego i oddania sprawy budowy pomnika w ręce p. Rehmana, — a jestem przekonany, iż p. R. ze swoim zmysłem praktycznym, wsparty radą kilku ludzi fachowych, załatwiłby się z tą sprawą w ciągu lat dwóch z zupełnem zadowoleniem ogółu. Innego wyjścia na razie nie widzę. Dodać jeszcze należy na pochwałę p. R., że polityki nie prowadzi, listów otwartych nie pisuje i o ile mi wiadomo nie posiada sekretarza.

Wracając do sprawy drohowyżskiej mam to przekonanie, iż cała wrzawa, powstała z pobytu «pewnej osobistości» na egzaminie, jest objawem sezonu ogórkowego. Biedne nasze dziennikarstwo, oczekując z upragnieniem na zjazd kromieryski, zapycha tymczasowo swe szpalty błahą polemiką. Ponieważ zaś do kronikarza należy nietylko opisywać rzeczy przeszłe, ale i wzrokiem proroczym zaglądnąć w przyszłość, pozwolę sobie spisać przyszłe dzieje tygodnia dziennikarskiego krakowskiego za czas od 16 Sierpnia do 23 t. m.

A więc:

16 Sierpnia. Czas i Reforma jako w niedzielę odpoczywają, szukając tematu do polemiki na te ogórkowe czasy.

17 Sierpnia. «Czas» donosi w «Kronice», iż pogoda się ustaliła, a powietrze się nieco ociepliło.

18 Sierpnia. «Reforma» narzeka na niestałość pogody i znaczne oziębienie powietrza.

19 Sierpnia. «Czas» ze spokojną ironją zaznacza, iż są ludzie postępu, dla których termometr w sprawach ciepłoty nie jest decydującym; pragną, aby się ciągle podnosił, irytuje ich kiedy opada.

20 Sierpnia. «Reforma» pisze: «wstecznictwo pragnęłoby nawet własność rtęci na swoje kopyto przerobić, kurczenie jej uważając za dowód podniesienia się ciepłoty. Może wreszcie w tem niema złego zamiaru, tylko stare oczy nie dowidzą»...

21 Sierpnia. Czas lakonicznie konstatuje, iż niektórzy członkowie jego redakcji przywdziali dziś z powodu ostrego powietrza paltoty, a nawet jeden z przyjaciół politycznych przyjechał dziś ze wsi w lisiurce i dodaje: «oto są fakta, będące najlepszą odpowiedzią na zaczepki warcholskie.»

22 Sierpnia. Reforma donosi: «z powodu nadzwyczajnych upałów byliśmy zmuszeni redagować dziś nasze pismo zanurzeni w nurtach Wisły. Woda zresztą jest już tak ciepła, że pływające w niej raki nabierają barwy czerwonej.»

23 Sierpnia. Niedziela — zawieszenie broni aż do godz. 6-tej wieczorem dnia następnego.

K. Bartoszewicz.

ECHA.

S. p. Józef Szymański. Ś. p. Józef Rychter. Wydawnictwo „Czytelni Akademickiej." Kalejdoskop warszawski. Jednodniówka warszawska.

Ś. p. Józef Szymański. W ubiegłym miesiącu scena krakowska niepowetowaną poniosła stratę przez śmierć jednego z najczynniejszych jej pracowników, Józefa Szymańskiego. Na stanowisko, które nieboszczyk zajmował przez lat piętnaście nie prędko znajdzie się następca. Szymański, umierając, uszczuplił nieliczną już dziś garstkę artystów dramatycznych, którzy tytuł ten wywalczyli sobie szczerą i uczciwą pracą a nie reklamą i blagą. Cichy i spokojny, w koleżeńskich stosunkach ujmujący łagodnem obejściem i zacnością charakteru, Szymański nietylko jako aktor, lecz i jako kolega zostawia po sobie żal szczery.

W artystycznym zawodzie jego kilkakrotnie zachodziły zmiany. Pierwotnie grywał kochanków, przekonawszy się jednak, że na tem polu nie odpowie zadaniu, przerzucił się do ról charakterystycznych, które pozostały jego specyalnością. Sumienność w pracy w parze z talentem sprawiły, że Szymański stał się ulubieńcem publiczności krakowskiej; postacie przez niego stworzone zżyły się ze wspomnieniem o teatrze i jego pracowniku. Trafny obserwator, umiejący plastycznie oddać pochwycone szczegóły, stwarzał Szymański typy pełne prawdy, charaktery konsekwentnie przeprowadzane, postacie życiem drgające. O powodzenie, którego był pewien, niezawistny, zdala od wrzawy i intryg zakulisowych «poczciwy Szymek», jak zwali znajomi i koledzy, serdeczny i prawdziwy żal po sobie zostawił. *N.*

* * *

W Warszawie, po krótkich cierpieniach zmarł *Józef Rychter* b. kierownik sceny lwowskiej i zasłużony weteran sztuki dramatycznej. Ponieważ jest to postać wybitna w historyi sceny polskiej, a w niniejszem numerze miejsca nie mamy na życiorys zmarłego, przeto odkładamy go do następnego numeru.

* * *

Oddawna czuć się dawał brak wystąpienia naszej młodzieży akademickiej na polu przynajmniej dobrych chęci wydawania jakiego pamiętnika lub rocznika. Młodzież innych uniwersytetów zajęła się wydawnictwem gruntowniejszych prac swych kolegów, bądź tłumaczeniem celniejszych dzieł historycznych i filozoficznych. U nas, po nieudałych próbach wydawania czasopism peryodycznych zaprzestano zajmowania się podobnemi sprawami, co niekorzystnie świadczyło o energii młodzieży Obecnie dowiadujemy się, że «Czytelnia Akademicka» wzięła na siebie inicjatywę w podjęciu wydawnictwa, któreby zawarło prace jej członków. Utworzy się tedy obszerny tom prac historycznych, literackich i przyrodniczych, których uporządkowaniem zajmie się specyalna redakcya z grona akademików złożona. Wydawnictwo będzie «rocznikiem prac studentów uniw. Jagiellońskiego.»

* * *

Kalejdoskop warszawski. Wielkie to szczęście, że Mierzwiński swym silnym głosem i entuzyazmem, jaki wzbudza zagłuszył nieco wrzawę protestów, które się posypały obficie, dzięki wyrokom jury na wystawie rolniczo-przemysłowej. Fatalne czasy nastały na sędziów konkursowych!

Ludziska nie pozwalają się powodować osobistemi sympatyami, tylko wymagają zaraz rzeczoznawstwa i bezstronności. Od chwili, jak nie pozwoliliście na takie gospodarstwo «szarych gęsi» w sferze sztuki i przemysł buntuje się przeciw samowoli lekkomyślnych wyroków. Nic słuszniejszego, raz trzeba wziąć za zasadę, że pracy cudzej lekceważyć nie można dla chwilowego kaprysu lub niesympatyi, a jak w ostatnim wypadku nieznajomości przedmiotu [1]). Sama kwestya przyznania blaszki złotej czy srebrnej za produkowanie pierników lub mydła nie jest pierwszej wagi, ale niesłuszne przyznanie tej blaszki demoralizującym przykładem dla rzeszy wystawców i obniżaniem znaczenia samego sądu. Dojdzie niebawem do tego, że sądy konkursowe staną się synonimem lżejszej komedyi.

Zastanowienia!....

A co gorsza, że na tej wystawie mieści się termomikrofon p. Ochorowicza, przez który te protesty słychać głośniej i że

[1]) Zapewniają nas, że w gronie sędziów działu wyrobów tabacznych, dwóch było *niepalących.* Przyp. koresp.

zniesławienie sprawiedliwości konkursowej rozchodzi się echem tysiącznem.

Ta sprawa protestów ucichła, kiedy Mierzwiński wyrzucił **c** piersiowe, czy też jakąś inną literę alfabetu; to olśniło tak dalece nawet tych, którzy się na śpiewie nie znają, że gotowi byli klęcząc dosłuchać końca opery. Wyznam szczerze, że mnie się najlepiej podobało **r** kieszeniowe, jakie «tenor filantrop» (nowy epitet, który polecam reporterom) wyrzucił z pugilaresu na biednych. Niech mu otarte tą zapomogą łzy większą będą pociechą niż hymny reporterskiej gawiedzi, która w pogoni za wyszukiwaniem przymiotników straciła miarę i sens. Mierzwiński nie potrzebuje takich kadzideł duszących, skoro jest artystą uznanym i skoro rozumie obywatelski obowiązek.

Szkoda, że tego obowiązku nie zrozumieli nasi «nieobecni», którzy znów mieli spobność zaprezentowania się ze znaną sympatyą dla swojskiej sztuki na 300-nem przedstawieniu «Halki». Arcydzieło muzyczne serdecznego pieśniarza przetrwało na naszej scenie długi szereg lat. Smutna dumka Jontka, jak dawniej brzmiała rzewnością, jak dawniej «nie miał żalu do nikogo», jak dawniej płakano i marzono, ale z żalem... w pierwszym rzędzie do tych, którzy nie poczuwali się do obowiązku stawiennictwa na przedstawienia, z którego dochód dla rodziny Moniuszki przeznaczono, dalej, że napróżno czekamy na sukcesora coby «po Bekwarku lutnię objął».

Na to uroczyste przedstawienie postarano się o pewne ulepszenia w scenizacyi opery; jedni chwalą za to dyrekcyą i wpływ Meiningeńczyków widzą, inni, co niedawno ich wielbili «jakiemiś» nazywają. Górą konsekwencya!

W literaturze zastój, książek nowych prawie nie widać; pisma z powodu nowego półrocza złote góry obiecują prenumeratorom, a że szlachty sporo się zjechało, więc ten i ów broni jej zażarcie przed urojoną napaścią «pozytywistów».

W teatrze dawano «Dyonizę», którą znacie dobrze.

J. K.

* * *

Stało się u nas poniekąd zwyczajem, iż po każdej klęsce pożaru lub powodzi zjawia się jednodniówka, której rozprzedaż ma powiększyć kapitał zapomogowy dla nieszczęśliwych. Jest to sympatyczny objaw poczucia filantropijnego ze strony literatów, dziennikarzy i rysowników, którzy niosą bezpłatnie swe prace, będące środkiem codziennego utrzymania. To też jednodniówki mają powodzenie u publiczności i ze względu na cel i wartość prac. Godny jest tego poparcia *Zestyn* lwowski, który się pojawił, jako doraźna pomoc dla pogorzelców Horodenki i Grodna. Jest to jednodniówka, mająca nieco charakter za lokalny, bo będąca trawestacyą sposobu pisania w jednem z pism lwowskich i omawiająca sprawy wyłącznie prawie bruku nadpełtwianskiej stolicy. Jest więc przegląd miejscowego dziennikarstwa, teatru, wybitnych osobistości, nakoniec zbiór mniej i więcej udatnych kompozycyj artystycznych. Obok pana Wilczyńskiego, który dał dość zwykły obrazek «Pan Piotr», figuruje pani Zapolska, jako autorka prawdziwej w całości nowelki «Dla niej», ale robiącej wrażenie, jakgdyby całość dla jednej napisaną była sceny. Z werwą pojęty wiersz «Sen-mara» i karykatura projektu pomnikowego, będącego «dalszą podstawą działania» uzupełniają całość urozmaiconą kilku ulotnemi wierszykami i aforyzmami. Nizka cena (30 ct.) zapewnia wydawnictwu pokup.

Optymiści, *dramat w pięciu aktach Stanisława hr. Rzewuskiego. Petersburg H. Gliński 1885.*

Nie wspominalibyśmy o sztuce p. Rzewuskiego, widząc ją w szacie książkowej, raz już wydawszy o niej sąd, po przedstawieniu „Optymistów“ na scenie krakowskiej (Patrz Nr. 20 *Przeglądu* z r. z.); zniewala nas jednak do tego przedmowa autora dramatu, w której składając swoje *credo* w kwestyach estetycznych i, dziękując za poparcie sztuki przez teatry: krakowski i lwowski polemizuje z przypuszczeniem znacznej części krytyki, że „Optymiści“ są postaciami wziętemi z pośród kolonii polskiej w Petersburgu. Ten zarzut postawiliśmy również i jak wówczas, obstajemy przy nim, po przeczytaniu powtórnem sztuki i obrony autora. Nie przekonywają nas bowiem zupełnie zapatrywania p. Rzewuskiego na sposób czerpania tematów, nie przekonywa nas też bynajmniej gołosłowne a uporczywie powtarzane zdanie „że oskarżony (p. R.) nawet w myśli i zamiarach nie spełnił“ przewinienia, jakie mu podsuwają. Przedewszystkiem niepotrzebnie autor uważa za wielkie przewinienie to, co niem nie jest. Posługiwanie się faktami z życia pewnych jednostek nie może być dla pisarza zabronionem, gdyby bowiem było, nietylko krępowałoby jego poszukiwania fabuły do utworu, ale wprost uniemożliwiało wynalezienie scen, które nie miały miejsca w rodzinie X-ów lub Y-ów. Z tem ograniczeniem powtórzyłaby się historya pretensyj owego pana wojskowego, który Zoli zabronił używania w powieści nazwiska przez siebie noszonego. Niema pewnie autora, któryby nie czerpał faktów ze sfer sobie znanych, tak jak niema sytuacyi, którаby się w życiu nie powtórzyła za powieścią.

Całe przewinienie, jeżeliby już tak miano nazwać ten sposób szukania tematu, ma granicę w mierze, z jaką autor sięga po pewne fakta. Jeżeli ze znanych sobie zdarzeń analogicznych wytwarza pojęcie charakterów i zawikłań, nie powinien przecież niewolniczo kopiować natury, lecz takie wybrać, które jego działającym osobom dadzą możność okazania czynników psychologicznych i motorów postępowania. Oględnie korzystając z materyału, jaki mu się trafia, stwarza *prawdę*, bo ją w życiu widział, unika podejrzeń, że figury z fantazyi wysnuł, a nie naraża się na zarzut, że napisał paszkwil. P. Rzewuski tak sobie postępował, o ile się zdaje przy pisaniu „Optymistów“ — o ile zaś wykroczył po za granice wyłącznego posługiwania się rzeczywistością a nie częściowego jej przedstawienia,—za to nie odpowiadają jego zamiary — tylko siły. Duży zasób subtelnego analizowania własnego tematu, jaki rozwija w przedmiocie autor, świadczy o zasobie krytycyzmu w talencie, ale każe się obawiać, aby on nie zaszkodził artystycznej stronie późniejszych kompozycyj. Póki autora z owej gadatliwości tłumaczy wiek młody — jest ona do przebaczenia, jednak gdyby miała pozostać, straciłaby na tem gawędziarstwie akcya.

Wydanie dramatu jest staranne, zmian niewiele w porównaniu z egzemplarzem teatralnym. **A. M.**

Edward Lubowski. **Powieści niemoralne.** *Warszawa 1884. Cena 2 złr.*

Powieściopisarz, nowellista, dramaturg i krytyk w jednej osobie — to częste zjawisko w naszej dzisiejszej literaturze, a do takich należy autor *Powieści niemoralnych.* Jest ich cztery: *Papo*, *Niedobrani*, *Stara żona*, i *Takie wszystkie.*

Niedobrani jest historyą dwojga małżonków, nie mogących się zgodzić ze sobą, z czego wypływa cały szereg scen początkowo o nastroju humorystycznym, zamieniającym się w końcu na efektowny dramat. Efekta tutaj użyte są jednak zbyt wyszukane i dlatego nie robią należytego wrażenia.

Takie wszystkie jest obrazkiem z życia aktorskiego. Lubowski zna ten świat, gdyż studyuje go od początku swego pisarskiego zawodu. W nowelce więc drga życie, występujące osobistości są prawdziwe, autor widział je niegdyś, a teraz z pamięci tylko odmalował. Ta okoliczność ratuje pomysł, obrabiany już przez wielu autorów i dlatego nie budzący zajęcia w czytelniku.

Papo. Pod tą nazwą, niewinną napozór, ukrywa się dramat rodzinny, przejmujący do głębi swą prawdziwością. Żona i przyjaciel domu, zwodzący oboje męża; mąż, który wie o zdradzie żony, lecz nie daje tego poznać po sobie, gdyż kocha ją nadewszystko i syn, nienawidzący instynktownie pseudo-ojca, który odpłaca się się mu podobną wzajemnością — oto główni bohaterowie powieści. Najbardziej wystudyowaną i konsekwentnie do końca przeprowadzoną osobistością jest synalek Wiktor. Pieszczotami matki zepsuty zostaje egoistą, posługującym się wszelkiemi środkami, byle zdobyć pieniądze. Kiedy nareszcie dowiaduje się, kto jest właściwie jego ojcem, pierwsze jego słowa zwrócone ku temuż, są: „— — — czyś pan choć raz przysłał mi — — — pieniędzy.“

Jakże to przykre i prawdziwe zarazem.

Stara żona należy również do rzędu rodzinnych dramatów, ukrytych częstokroć przed światem, znanych tylko wtajemniczonym, ale tak smutnych, jak te, które grywają z powodzeniem na scenie.

Młody lekarz, uciekający przed pokusami świata, wpada w sidła małomiasteczkowej wdowy i wiąże się z nią ślubnym węzłem. Zapóźno spostrzega, że przykuł się na wieki do kobiety bez serca, szukającej w małżeństwie jedynie schronienia przed biedą. Porzuca ją wprawdzie, gdy zabrakło mu już siły do znoszenia męczarni, nieszczędzonych bynajmniej przez tego „spekulanta“..... w spódnicy, wszelkie atoli marzenia młodości, sny, zamiary i plany rozwiały się bezpowrotnie.

Lubowski nie należy dzisiaj do młodego cechu pessymistów, rozdziela światła i cienie umiejętnie i sprawiedliwie, widzi na świecie i złych i dobrych ludzi. Dlatego też *Powieści niemoralne* nie wywierają na czytelniku wrażenia przygniatającego, każdy widzi w nich tylko sumienne studyum nad społeczeństwem, owiane poezyą i przedsięwzięte bez uprzedzenia. Autor umieścił się na zupełnie objektywnem stanowisku, raz tylko w *Niedobranych*

opuścił je, odsłonił przyłbicę i palnął tyradę przeciwko kolegom powieściopisarzom. A mógł się od tej wycieczki uchronić. Powściągliwość taka wyszłaby na korzyść artystycznej formy wspomnianej nowelli.

Na zakończenie, maleńkie zapytanie. Dlaczego autor nazwał całość: *Powieściami niemoralnemi*? Czyżby nie zgadzał się ze zdaniem Rzymian: „Nihil humanum turpe est".

A. Now.

Wila Zyndram Kościałkowska. **W półcieniu.** *Opowiadania i obrazki. Warszawa 1885.*

Za przykładem Anglii i Niemiec i u nas coraz więcej kobiet chwyta za pióro. Z małymi wyjątkami poświęcają się one — podobnie jak ich zagraniczne siostrzyce — powieściopisarstwu. Tu jednak trzeba zaznaczyć, że powieściopisarki niemieckie i angielskie ograniczają się jedynie na t. zw. romansie obyczajowym, nasze tworzą przeważnie powieści tendencyjne. Nie miejsce tutaj rozbierać przyczyny tego ciekawego w każdym razie zjawiska. Nadmienić tylko wypada, że dzisiaj widomą głową szkoły tendencyjnych powieściopisarek polskich jest Eliza Orzeszkowa.

Orzeszkowej działalność nie trwa jeszcze i lat dwudziestu, a mimo to autorka ta znalazła uczennice, które idą w jej ślady. P. Kościałkowska do nich należy.

Jej nowelle swą tendencyą, zastosowaniem typów i charakterów, miejscem nawet, gdzie się dzieją, stwierdzają ten wpływ w zupełności. Są jednak i różnice, wypływające z indywidualnych przymiotów obu autorek. Podczas kiedy u Orzeszkowej światła i cienie rozdzielone są umiejętnie, Kościałkowska zasklepia się w ciasnym pessymiźmie; gdy pierwsza maluje ludzi i zdrowych i chorych, czy fizycznie czy moralnie, jej uczennica widzi na świecie tylko chorych, tylko trupy i nędzarzy moralnych.

Najlepiej te dwie artystyczne natury poznać możemy, porównawszy choćby ich styl. Język Orzeszkowej jest płynny, czysty i nie szukający efektów. Styl Kościałkowskiej porównaćby można ze strumykiem, na którym dla ozdoby parku porobiono sztuczne wodospady, nienaturalne zakręty i oczyszczono go z zielska, lecz tylko w tych miejscach, gdzie można je widzieć; gdzie zasłaniają go krzewy i gęstwiny, tam płynie jak mu się podoba.

Rzeczywiście, p. K. pisze napozór nader poetycznie; a jednak rozpatrzywszy się bliżej dojdziemy do przekonania, że tylko opisy są bardziej opracowane, ale i tam nawet budowa zdań zawiła i zbyt długa sprawia, iż styl staje się chropawym.

Są to jednak usterki, które przy starannej pracy i usilności dadzą się usunąć. Wynagradza je bogactwo myśli i obserwacyi. Myśli pięknych, pełnych poezyi rozsiała autorka wielką ilość w swych utworach, które po kolei dotykają wszystkich warstw naszego społeczeństwa.

Widzimy tu i biedną rodzinę wędrownych komedyantów (Anielka), którzy wędrując z miasteczka do miasteczka dla kilku marnych groszy, narażają codziennie swe życie; i starą pannę (Wrócona życiu), która zawiedziona przez narzeczonego w apatyi i zwątpieniu dokonałaby życia, gdyby nie ludzka a rozumna pomoc lekarza.

Dalej nasuwa sie nam na oczy opowiadanie p. t. „Była niepotrzebną", robiące wrażenie pierwszego lub też ostatniego rozdziału jakiejś większej powieści. Z kilku tych kartek bije niejasna zagadka, pełna pessymizmu i zobojętniałej już na wszystko rozpaczy.

„Zgrany" to znowu smutna kartka z życia t. zw. obywatelskich synów, którzy marnują swe, nieraz wielkie, zdolności w hulankach i rozpuście; a kiedy chcą się ratować, jest już zapóźno, stargane siły nie zdołają wyrugować zakorzenionych nałogów.

Historyą dwojga serc, które minęły się w drodze żywota, gotując tem sobie nawzajem najstraszliwsze męki, maluje obrazek p. t. „Rozeszli się." Dużo w nim idealizmu; znać, że to kobiece pióro kreśliło owe sceny, pełne dokładnej, a zarazem tkliwej psychologicznej analizy.

„Strofa prozą" jest to rozprawa o pessymiźmie zręcznie przybrana w belletrystyczną szatę.

W „Elegii" p. K. przedstawia nam dwóch rywali, kłócących się nad trupem kochanej przez nich kobiety. Każdy z nich sądzi, że nieboszczka kochała tylko jego i że jego fotografię ukrywała w medaljonie, spoczywającym na zimnej już piersi. Jeden i drugi więc chce go zabrać na wyłączną własność. Za obopólną zgodą otwierają go wreszcie i znajdują wizerunek... trzeciego, młodego lekarza, który, opiekował się zmarłą w czasie jej choroby. Zjadliwa satyra na stałość kobiecą!

„Kruczek" i „Wietrzyk" pisane są podług jednego szablonu. Przedstawiają los zwierząt, pieszczonych za młodu, a w starości wypędzonych przez niewdzięcznych ludzi.

Zbiór ten, pełen takich opowiadań, rażących nieco może pessymizmem, któremu hołduje autorka, powinien znaleść się w ręku każdego, choć trochę zajmującego się literaturą ojczystą. Nietylko bowiem dorównywa, lecz nieskończenie nawet przewyższa swą wartością licznie i tak chętnie u nas czytane powieści obce.

A. N.

Gabryella Śnieżko-Zapolska. **Akwarelle.** *Warszawa 1885.*

Jedenaście luźnych obrazków złożyło się na tę wystawę. Jedenaście akwarelli o prześlicznym kolorycie nęci i wabi pełnią swoich barw; przyciąga i zatrzymuje; olśniewa kontrastami, to znów przejmuje harmonijnym, rzewnym spokojem.

Werwa, życie, humor, sarkazm, śmiech, pustota, łzy, zwątpienie, rozpacz, rozrzucone umiejętnie a w miarę; wszystko tu malowane z głęboką znajomością świata, charakteryzującą przenikliwość doskonałej obserwatorki. Autorka jest przedewszystkiem oryginalną; a co ważniejsze, bierze życie prawdziwie tak, jakiem jest; pierwiastek romantyczny na tle czysto realnem. Niema tu cudownych niespodzianek, skutku bez przyczyny; niema tu przypadków, ale są logiczne, naturalne następstwa, wywołane pewnemi pobudkami. Tryb to odwieczny; autorka jak fizyolog eksperymentem stwierdziła teoryę. Dodajmy jeszcze prawdziwie wytworny styl a będziemy mieli miarę ogólnego wrażenia.

A teraz do szczegółów.

Jest para ludzi dziwnie dobranych, dusze ich strojne w jedną pieśń harmonii, zda się istniały zawsze obok siebie; dwa jasne światła — dwoje szczęśliwych! Nie rozstawali się nigdy. Ona nie lubiła gwaru zabaw ani zgiełku świata; wśród najweselszej zabawy przychodziła z prośbą udania się do domu — tam była jej rozrywka, wesele i szczęście. On krył to szczęście przed ludźmi... Dawny niedowiarek, szydzący ateusz, klęczał obok swej małej, korząc się przed jej Bogiem.

I trwało by to szczęście może bardzo długo, gdyby nie ciężka niemoc, która nim owładnęła.

A mała? Wątłe to stworzenie mimo próśb chorego nie oddaliło się od jego łoża; nie szukała odpoczynku, nie bała się choroby, nie denerwowały jej jęki cierpiącego. On siłą woli wydarł się śmierci,— niestety po to tylko, by wybladłymi usty całować stygnące ciało ukochanej żony. Zaraziła się jego chorobą; umarła spokojnie, cicho, szeptając: kochany!.. „Moja mała" to ucieleśnione marzenie, obrazek rzewny, szlachetny.

Kontrastem „Małej" jest „Małaszka." Zkąd się wzięło tyle próżności w tej brudnej, zamorusanej dziewczynie? Zkąd ta przebiegłość, zalotność wyrafinowana? Czternastoletnie dziecko działa na zmysły jak..... dojrzała kobieta.

To może jedyna usterka w całym obrazku.

Późniejsza jej namiętność, oddanie się młodemu hrabiemu i ból, że zapomniawszy nie żąda pieszczót, odmalowane po mistrzowsku.

Jakaż to znajomość duszy kobiecej! Malowniczo z ukraińska ubrana mamka hrabiątka, zna wszystkie wybiegi rutynowanej kokietki, a upewniona o sile swoich wdzięków, nie kryje się z nimi — owszem....

Pani Zapolska umie grać na nerwach czytelników.

Zmysł próżności przeprowadzony konsekwentnie, ta kobieta przedziera się przez płomienie byle tylko uratować — jedwabną spódnicę.

Charakter Julka, zaniedbanego męża, przeprowadzony od pierwszej karty z ścisłością psychologiczną.

Śliczną jest „Łza". Piękna młoda kobieta zaniedbana przez najpospolitszego w świecie męża, chociaż zbytkiem otoczona, po długiej walce z ciałem i sumieniem zezwala na występną schadzkę. Wymykającą się z domu, ratuje od hańby łezka jej dziecięcia.

Niepospolita subtelność uczucia przebija się w „pierwszym pocałunku". Czysta a trwożna miłość biednej wyrobnicy, nacechowana mocą i wiarą. Piękną jest chwila, kiedy dziewczyna dostawszy w darze od ukochanego pełny kwiat róży, po raz pierwszy wstydzi się swojej ceglastej, łatanej odzieży, od której jaskrawo odrzyna się szkarłat kwiecia. Dwoje nędzarzy wierzy w wszechmocną siłę — miłości! Wierzy w nią zawiedziona szwaczka, wierzy i młode dziewczę wpinające narzeczonemu różę w butonierę, który się z nią ożeni z konieczności zapłacenia kawalerskich długów; wierzy w nią porzucona przez kochanka bankierowa, wierzy w nią i matka Rafaelina. Nie pomogły ciężkie prace probantki, na nic się nie przydały umartwienia, a kluski z morelami i kawa ze śledziem również nie wypełniły pustki jaką czuła w około siebie. „Kocham" wdarło się przemocą do ucha zakonnicy, odsłaniając jej naraz całą próżnię rzekomego powołania. Słowo to prześladuje biedną kobietę i upominając się o swoje prawa, ciśnie się na wybladłe wargi.

Artystycznem pieścidełkiem jest obrazek „Gdybyś ożyła". Ożyć ma biały posąg nabyty za wysoką sumę od rudowłosego handlarza i ustawiony wśród zieleni palmowego liścia w pracowni artysty. Klasyczna piękność kobiety, idealna czystość linii napełniają serce artysty uczuciem miłości dla białego marmuru. Gdyby ożyła!.. O dziwo, pragnienie spełnione, zbudziła się nieskalana. Artysta drży z wzruszenia i szczęścia, marmurowa piękność

podnosi oczy i rozchyla usta „źle mieszkasz mój drogi“. Jakież to doskonałe. Żąda łóżu, który sprzedają w sklepach niedaleko świątyni Hestyi, każe przywołać niewolników (stróż Walenty) a na dobitek ruchami dzisiejszej kokietki, upina sobie z draperyi turniurę. Takie to one wszystkie! Na szczęście artysta się budzi, a posąg — niechaj spi spokojnie.

„On“ dostarcza autorce materjału do zajmującego studyum. Są tu oryginalne zwroty i definicye, przykłady i przestrogi, wskazówki i rady, wyraźne profile i wierne sylwetki.

„Mężczyźni, mówi autorka, to stare dzieci, pełne fałszu i obłudy, pełne kłamliwych pieszczót i pocałunków, ale chwilami tak dobre, tak poczciwe, że ból przez nich przebyty niknie w zapomnieniu, a same chwile szczęścia pozostają nam w pamięci“.

Wyższość mężczyzny zaznacza wcale dosadnie: „Najgłupszy mężczyzna jest mądrzejszym od najrozumniejszej kobiety.“

Jaskrawo acz prawdziwie przedstawia los szukających nadzwyczajnej miłości: „On kusić cię będzie obietnicą nieznajomych rozkoszy. Szalona! nie wierz temu. Mąż twój da ci to samo bez trwogi i niebezpieczeństw, bez upadku, bez utraty godności twej własnej. Ty zostaniesz z wieczną dla siebie pogardą, „on“ pójdzie dalej z uśmiechem tryumfatora.

Studyum pełne werwy, sprytnie zaprawione sarkazmem.

Talentowi p. Zapolskiej wróżyć można piękną przyszłość.

Książka wydana starannie. **P. R.**

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Operetka lwowska. Występy panny **Elli Russel.** *Powtórny benefis pn.* **Kałużyńskiej,** *Komedya Kotzebuego* **Spadek po matce.**

Mimo, że repertuar obejmował zaledwie jedną tylko nowość a zresztą same z lat poprzednich znane nam już opery, publiczność ochotnie spieszyła do teatru. Nic dziwnego, kto jest w stanie zdobyć się na taką pracę, ile jej zadaje sobie p. Jarecki, ten może się spodziewać, że praca taka nie pójdzie na marne, i że publiczność oceni owoce starań i pilności.

Pojedyńcze partye wychodzą poprawnie, chóry śpiewają z życiem, jednem słowem całość wypracowana i zadowalniająca.

Po *Giroflé-Girofla* Lecoqua owem uosobieniu lekkości w muzyce i... librecie, gdzie p. Bocskaj w tytułowej roli jak zwykle zawojowała publiczność, wystawiono stare Straussowskie *Indigo.* O ile libretto niedowcipne, o tyle muzyka pełna wdzięku. Zanotować należy widoczną werwę w chórach.

I popularna mama *Angôt* przypomniała się publiczności; staruszka podobała się jak zawsze. Jeżeli wspominamy tu o charakteryzacyi, to jedynie dlatego, aby podnieść staranność i dokładność, jaką odznacza się p. Myszkowski. Jego Larivaudière, to wierny typ francuza z czasów dyrektoryatu; dokładność posunięta do najdrobniejszych szczegółów. To samo znajdziemy we wszystkich kreacyach p. Myszkowskiego. Mniejsze powodzenie miało wojsko francuzkie.

Zmiana w obsadzie *Gaskończyka* Souppégo, ograniczyła się na partyi księcia Jamsa. Objął ją po panu Almie p. Floryański, spiewając od początku do końca, z życiem i szczerym liryzmem.

Rzewna pieśń szkocka, dziki śpiew indyjski i duet z Croustillac'iem wypadły dobrze.

Podobna zmiana zaszła również w *Chusteczce królowej* Straus.'a, gdzie rolę królowej (dawniej p. Skalska) objęła pn. Praunówna, wywiązując się z niej szczęśliwie. Pewien niepokój jaki dostrzegliśmy w akcie I, odnosić się musiał widocznie do nieswobodnej krézy efektownego zresztą kostyumu. Pani Bocskaj zbierała oklaski za *Trufelkę* i musiała natarczywą publiczność uraczyć jeszcze jedną porcyą. A prawdę mówiąc publiczność nasza jest bardzo natarczywą, żądaniom śpiewania „da capo“ niema końca, bez względu na forsowną partyę i znużenie artystów.

Pp. Myszkowski, Skalski i Alma grali z humorem, szkoda tylko, że pan, grający markiza, nie oddał swego pancerza przed wyjściem na scenę... krawcowi do skontrolowania; raził też bardzo w tej niewielkiej rólce.

Oczekiwany *Pierścień rodzinny* wystawiono z powodzeniem. Treść libretta wzięta jest z „Dekamerona“ Boccaccia, dokąd odsyłamy ciekawszych; muzykę napisał znany kompozytor Audran, którego wszystkie utwory cieszą się prawie równem powodzeniem. (Wielki Mogoł, Wesele Olivetty, Mascotte). *Gilette de Narbonne* obeszła już dotychczas wiele scen i wszędzie przyjmowano ją przychylnie, wyróżnia się też z pośród dzisiejszych nowości operetkowych oryginalnością motywów i pomysłowymi efektami. Łatwość melodyi wróży jej popularność. P. Bocskaj z roli Giletty wywiązała się umiejętnie; pełna wdzięku w akcie I., sympatyczna i milutka w akcie II., kilkakrotnie powtarzać musiała efektowne swoje piosenki; ujmującą powierzchowność podnosił wdzięczny i gustowny kostyum. Humor i dowcip dopisywały panu Skalskiemu przez cały ciąg wesołej roli nauczyciela i żonatego bez żony. Partyę Oliviera śpiewał p. Floryański, oczywiście że musiała wypaść wybornie. Poprawnie śpiewał p. Fontana; trochę więcej swobody i zaokrąglenia w ruchach a rozporządzać będzie artysta szerokimi warunkami; p. Kasprowiczowa również zbierała oklaski.

Szeroką reklamą poprzedzone gościnne występy pny Elli Russel, nie zawiodły oczekiwań. Reklama była tym razem najzupełniej usprawiedliwioną.

Panna Russel posiada owe trzy kardynalne warunki, umożebniające wydobycie się ponad poziom: czysty, sopranowy głos, gruntowną szkołę obok sumiennej pracy i wyborną grę. Miary dopełnia korzystna powierzchowność i dystynkcya, która artystki nie opuszcza ani na chwilę.

Pierwszy występ w roli Violety w *Traviacie* Verdi'ego, wykazał całą obfitość zasobów i doskonałość spiewaczki. Śliczna a obszerna koloratura obok przejść z mezza-voce do forte wywołują oklaski rozentuzyazmowanej publiczności, gra obmyślana szczegółowo, pełna wykończenia idąca zawsze w parze ze śpiewem, budzi uszanowanie dla pracy; poprawna deklamacya przywodzi na pamięć przeważny brak tejże u naszych artystek.

Sceny o nastroju dramatycznym, jak w akcie II. i III., wywarły wrażenie całej swej mocy; dzielnie też pomagały orkiestra i chóry, rezultat pracy p. Jareckiego. Solo skrzypcowe p. Wolfsthala w akcie IV. wypadło pięknie. P. Alma śpiewał w akcie III. i IV. bardzo poprawnie, tylko p. Koncewiczowi głos zrobił zawód.

Jako Małgorzata w *Fauście* Gounoda miała artystka mniej pola do popisu, ale też więcej miejsc do uwydatnienia swoich zdolności dramatycznych. Mimika w akcie III., koniec aktu IV. i śpiew w więzieniu (V.) sprowadziły artystce burze oklasków, artystce, która tak głęboko odczuwać i poruszać umie. Pan Alma śpiewał Fausta z czuciem i zrozumieniem, p. Bocskaj Siebla z prawdziwem ciepłem, szkoda tylko, że p. Guberski stał się przyczyną dyssonansu, robiąc komicznego Mefista. *Fausta* na żądanie powtórzono raz jeszcze.

Publiczność oklaskami i wywoływaniami dziękowała artysce za miłe chwile wrażeń prawdziwie podniosłych, których przygotowanie zapisujemy na dobro p. Jareckiego, dzielącego trudy kierownika opery z p. Sachorowskim, dbałym reżyserem. **R.**

W okresie nerwowych drgnień dogorywającego sezonu letniego poznaliśmy komedyą Kotzebuego *Spadek po matce.* Stało się to za sprawą pn. Kałużyńskiej, która niezrażona perjodycznie powtarzającemi się pustkami na przedstawieniach komedyi, zdecydowała się na urządzenie „letniego“ benefisu. Rozumiemy formalną stronę tego przedsięwzięcia — warunek kontraktu, ale dlaczego publiczność musiała patrzeć i słuchać długich i przewlekłych scen komedyi, która przed pół wiekiem należała do zwietrzałych? Dlaczego nie postarano się o coś, jeźli niezupełnie nowego, to przynajmniej niedawno poczętego? Kotzebue przy swojej niepospolitej płodności mało zostawił sztuk (przeważnie jednoaktówek), które przetrwały dłuższy czas repertuarowego żywota; komedya zaś *Spadek po matce* nie przoduje utworem autora *Roztargnionych.* A nawet Kotzebue w najlepszych swoich utworach nie był mistrzem; dowcip rubaszny i płaski, sytuacye ubogie, figury szablonowe, szkicowe, nie wskazywały głębszego odczucia charakteru ludzkiego, cóż dopiero mówić, kiedy przez cztery akty opisuje nieporozumienie małżeńskie wskutek majątkowych różnic? Nudne to bardzo, bo znane na pamięć.

Nie pojmujemy też dlaczego rolę żony upodobała sobie pn. Kałużyńska. Niema w niej jednego momentu, któryby zdolności pn. K. zaprezentował w świetle korzystnem, a rozumiem przez nie pewne postępy w pracy. Te szlochy, narzekania, zagrożona cnota, już w takiej formie nie zajmują, nie zaciekawiają, — nie zdołała też pn. Kałużyńska wlać ani życia, ani prawdy w przyprószoną szronem zapomnienia postać żony. Nadmierne używanie głosu wciąż jeszcze staje pn. K. na przeszkodzie do osiągnięcia prawdy w grze. P. Wolska była poprawną matką, p. Solski był w nie swojej roli zdobywcy serc. P. Werner grał męża i wyglądał mniej szczęśliwie.

Przekład p. Arwina, starannie omijający reguły gramatyki i logiki, poleca się uwadze amatorów dziwactw językowych.

Nemo.

ROZMAITOŚCI.

Sztuka i literatura:

— **Pierwsi humaniści.** Pan Stanisław Rzewuski napisał pod powyższym tytułem dramat historyczny, który ma się ukazać na scenie lwowskiej w sezonie jesiennym.

— **Hrabina Sarah**, niezmiernie interesująca powieść G. Ohneta przerobioną została na scenę i wespół z „Chamillacem“ Feuilleta będzie jedną z nielicznych nowości.

— **Zgon Wajdeloty** p. Lewakowskiego nadejdzie w końcu lipca na wystawę w Krakowie.

— **Henryk Rauchinger**, uczeń prof. Eisenmengera w Wiedniu pracuje obecnie nad ukończeniem obrazu p. t. *„Wskrzeszenie córki Jaira“.*

— **Z dziejów serca**, kilka rymów Józefa Łubicz Orłowskiego wyszło we Lwowie. Ołok zwykłych narzekań zranionego serca, znajduje się kilka szczerych nut niekłamanego liryzmu.

— **Teatr lwowski** zasila swoim personalem trzy sceny w Galicyi, a co do ilości i jakości śmiało rywalizować może z Warszawą. Część dramatu i komedyi występuje w Szczawnicy, część w Krynicy, operetka w Krakowie. Wybitniejsze siły stanowią pp: Żelazowski, Zboiński, Frenkiel, Rygier, Wolański, Lubicz, Hierowski, Wojdałowicz, Kwieciński, Ruszkowski, Walewski i panie: Aszpergerowa, Stachowiczówna, Nowakowska, Kwiecińska, Gostyńska, Pysznik i Solecka.

Przez tydzień bawiła trupa lwowska w Tarnowie, gdzie zyskała uznanie.

— **Brandes** wywołał korzystną rewolucyę nietylko na polu krytyki duńskiej. I powieściopisarstwo rozdzieliło się na dwie szkoły: Starą i realistyczną. Głową tej drugiej jest dr. filoz. Sofus Schaudorph, stojący obecnie w pełni rozwoju swych sił artystycznych. Po za granicami Danii znany jest on także w Niemczech, gdzie powieści jego, malujące nam wszystkie klasy i warstwy duńskiego społeczeństwa, chętnych znajdują czytelników.

— **Norwegską literaturę** wzbogaciła pierwszem swem dziełem p. t. Hans Skjoebne, zdradzająca wielki talent nowellistka Karolina Koren. Kształciła się na wzorach starej angielskiej powieści, gdzie treść stanowią zawikłania dwóch lub trzech kochających się serc.

— **Sarze Bernhardt** zabronił rząd niemiecki występowania w obrębie monarchii Hohenzollerów, za wielokrotne a ostentacyjne manifestowanie uczuć nieprzyjaznych dla Niemiec.

— **Dr. P. Chmielowski**, wykończył studyum o „Panu Tadeuszu“; praca uczonego historyka literatury obejmie dwa obszerne tomy i oddaną już została drukarni Anczyca.

— **A. Bełcikowskiego** studya literackie mają się ukazać nakładem jednej z firm księgarskich w Warszawie.

— **Bawmy się w żołnierzy!** Kartka z niedawnej przeszłości przez A. J. Sęka wyszła z druku.

— **Pechowcy**. Taki oryginalny tytuł nosić będzie komedya, nad którą pracują pp. Abramowicz i Ruszkowski. W języku niemieckim wyraz „pech“ (smoła) używanym bywa i powtarzany przy nieudałym zamiarze, jako określenie prześladującego nieszczęścia. W komedyi, ów „pech“ ma się tyczeć spekulacyj bankowych.

— **Literatura czeska** wzbogaciła się książką p. t. „Malomestke humoresky“ pióra znanego felietonisty Fran. Heritesa. Jest to zbiór nowel zamieszczanych od r. 1875—1885 w „Narodnich Listach.“ Herites, mieszkając w małem miasteczku, jest doskonałym znawcą i malarzem zaściankowych stosunków i intryg.

— **Rada uniwersytetu warszawskiego** przyznała nagrodę pieniężną w ilości 60 rsr. p. Edmundowi Dylewskiemu, słuchaczowi prawa za rozprawę p. t. „Państwo i władza prawodawcza w w. XVI. w Polsce.“

— **J. I. Kraszewskiego** powieść historyczna w 3 t. p. t. „Banita“ ukazała się świeżo na półkach księgarskich. Jest ona XXII z rzędu powieścią historyczną, należącą do znanego cyklu, mającego na celu obrazowe przedstawienie historyi polskiej. Skreśla czasy Stefana Batorego.

— **P. Tadeusz Błotnicki** wykończył nową rzeźbę pt. „Hulaj dusza“....

— **Wachlarz**, udatna nowelka Hajoty, przełożoną została na język niemiecki po raz wtóry i pomieszczoną w „Gartenlaube“.

— **Aspazya**, najnowszy dramat Aleks. Świętochowskiego pojawił się w „Prawdzie“. Początek przypomina wszystkie zalety pióra autora „Niewinnych“.

— **P. Leger**, profesor lit. słow. w College de France w liście otwartym do jednego z literatów prosi o nasyłanie prac naukowych i literackich.

— **Michała Wołowskiego** ukazały się „Cyganiątko“ i „Trefniś i lutnista“, fragment dramatyczny w 1-ym akcie. Pierwszego utworu rozbiór podamy niebawem. „Trefniś i lutnista“ jest znany naszym Czytelnikom, gdyż odegrano go na naszej scenie po raz pierwszy w d. 13 Maja 1884 r. Utwór to pełen głębszej myśli, napisany ładnym i poetycznym językiem zasługuje na rozpowszechnienie w kołach czytających publiczności.

— **Historyi teatru niemieckiego w Pradze** przez Oskara Teuhnera ukazały się 2 pierwsze tomy (1771—1817). Tom III, zawierający i czasy najnowsze niebawem wyjdzie z druku. Jest to ważny i wierny, bo oparty na źródłach, przyczynek do dziejów teatru w Niemczech.

— **Eryk XV**, dramat Karola Brzozowskiego ma podobno wejść na repertuar sceny krakowskiej w sezonie zimowym.

— **B. Prus** odezwał się w „Kurjerze warszawskim“ pełnym szerszych poglądów obrazkiem „Pominięty“.

— **Piękna warszawianka**. Pod tak interesującym tutułem jakaś angielska autorka osnuła powieść, której druk rozpoczęło jedno z pism warszawskich.

— **Tanie wydanie** dzieł Mickiewicza pojawiło się w handlu księgarskim. Całość obejmie tomów 4 i daleką będzie od kompletnego wydania nieśmiertelnych tworów wieszcza.

— **P. hr. Łączyński** napisał komedyą „Szukam spokoju“. Wystawiono ją we Lwowie, gdzie też znalazła spokój w... bibliotece teatralnej.

— **Pn. Marya Wisnowska** jedna z najzdolniejszych sił żeńskiego personelu sceny warszawskiej sześciokrotnie występowała na scenie lwowskiej, której jest wychowanką. Dzienniki lwowskie z rzadką zgodnością przyznają artystce trafne pojęcie ról, subtelność szczegółów i szlachetny realizm. Mimo niesprzyjającej uczęszczaniu do teatru pory pn. Wisnowska przyjmowana była serdecznie, zwłaszcza w „Pięknej“ Świętochowskiego i „Barkaroli“ Gawalewicza.

— **Klemens Junosza** po długich studyach nad żargonem żydowskim drukuje w „Wieku“ szkic literacki p. n. „Don Kiszot żydowski.“

— **Guy de Maupassant** wydał świeżo powieść p. t. „Bel-Ami“. Jest to wierna fotografia pewnej, zepsutej moralnie części paryzkiego dziennikarstwa.

Z prasy:

— **Kraj** w Nrze 22 począł drukować: „Lat temu dwieście“, opowieść na tle dziejów Kroacyi T. T. Jeża. Czcigodny autor zasyła ten utwór „pobratymcom w upominku.“

— **Prawda** zamieszcza w odcinku nowellę p. t. „Bez powrotu“ pióra Ostoi (Edgens Władysławy).

— **Gazety Lwowskiej** felieton od Nr. 135 zawiera Piotra Jaksy Bykowskiego, opowiadanie p. t. „Syn Wachmistrza“.

— **Gazeta Narodowa** nie daje się wyprzedzić wśród nawału nowości i daje czytelnikom swym humoreskę p. t. „Przez jedną dobę — milionerem“ pióra Aur. Urbańskiego.

— **W Dzienniku Polskim** czytamy „Helenkę“, obrazek przez Gabryelę Śnieżko-Zapolską.

— **Wiener Allgemeine Zeitung**, znana z swej przychylności dla Polaków, zawiadamia czytelników, że niebawem ukaże się w jej łamach romans p. t. „Gloria victis“, wyszły z pod pióra Ossipa Schubin'a. Ossip Schubin jest to pseudonim. Ukrywa się pod nim kobieta, Lola Kürschner. Odkąd Marlittowa straciła na wzięciu z powodu szablonowej maniery swoich utworów, zabłysła Kürschner jako nowa gwiazda wśród tak licznego w Niemczech zastępu kobiet powieściopisarek. Pierwszą jej powieść p. t. „Um Ehre“, tłumaczoną na język francuski, drukuje paryski „Gaulois.“

— **Kraju Nr. 24** umieszcza pióra p. Bronisława Grabowskiego ocenę poematu Vrchlickiego p. t. „Twardowski“. Poemat ten, o którego skonfiskowaniu i powtórnem wydaniu wspomnieliśmy już poprzednio, osnuty jest na znanem polskiem podaniu, choć dużo szczegółów uległo zmianie.

— **N. Reforma** drukowała nowellę p. n. „Przeszedł przez Narew“ pióra p. Michała Wołowskiego. Teraz umieszcza taż gazeta nowellę Hajoty p. n. „Tylko słowa“. Drukowało ją poprzednio „Echo muzyczne i teatralne“ w Warszawie. Druk „Panny Felicyi“ doznał chwilowej przerwy, drukuje ją jednocześnie „Kurjer Warsz.“

— **Tygodnik ilustrowany** przyniósł nam w ostatnim numerze koniec powieści p. t. „Życie i sen“ Edmunda Chojeckiego. Mało w niej było „życia“, lecz „snu“ aż za wiele.

— **Tygodnik powszechny** pomieszcza nową seryę portretów wraz z życiorysami „naszych gospodarzy“. Dział belletrystyczny wzbogacił nowellą p. t. „Synowa“ p. Wili Zyndram Kościałkowskiej.

— **Ostatni Nr. „Magazin für die Literatur des In- u. Auslandes“** umieszcza ciekawy artykuł o honoraryach (w Niemczech) za dzieła naukowe. Najwyższe sięgają 8000 marek. A jednak autor artykułu p. Lethes narzeka na tak nędzne wynagrodzenie. Niechby zajrzał do nas!

Zmarli:

† **Florentyna Niewiarowska**, młoda autorka, której próbki powieściowe zamieszczane w pismach warszawskich korzystnie się wyróżniały, zmarła w Warszawie w z. m.

† **Józef Szymański**, artysta sceny krakowskiej.

† **Józef Rychter**, b. artysta i kierownik sceny krakowskiej zmarł w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. L. Z. w Warszawie. Nowelka dla nas nieprzydatna. Korespondenta w Warszawie już mamy, który stale nas informuje. Za zwrócenie uwagi na pewne niedokładności w inseracie, dziękujemy.

P. M. W. w miejscu. Cierpliwości, łaskawy panie. Przyjdzie czas i na to.

P. Z. K. w Warszawie. Najlepiej poinformuje panią sam autor. My przypuszczamy, że się tak stanie.

— **P. B.** „Kupić, nie kupić, — potargować można“.

Autorzy i wydawcy, pragnący wzmianki o swoich pracach i nakładach w „Przeglądzie lit. art.“ zechcą takowe nadsyłać pod adresem redakcyi:
Ulica Sławkowska, hotel Saski.